Nr. 37. Warszawa, dnia 16 (4) Września 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Zwracamy uwagę na nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

POLITYKA.

ERA ŁADU.

Warunki, przebieg i wyniki tegorocznych wyborów powszechnych do Izby we Francyi są niezmiernie charakterystyczne. *Temps, Journal des Débats. Estafette* i spora liczba pism warszawskich, spragnione — te ostatnie nie wiadomo dlaczego — silnego rządu we Francyi, tryumfują z okazyi wytworzenia w tym kraju, będącym dotychczas widownią rozstroju parlamentarnego, pewnej a karnej większości rządowej, która składa się z ośrodka oportunistycznego, t. zw. „brygady centralnej,“ popartego z prawej strony przez nawróconych do republiki monarchistów, z lewej przez nawróconych do porządku radykalistów barwy Jacquesa i Trélata. Opozycyę stanowią dwa niezmiernie oddalone od siebie i prawie niezdolne do sojuszu krańce: kilkudziesięciu monarchistów i kilkudziesięciu radykalnych socyalistów i kolektywistów, co wobec 600 blizko deputowanych znaczy niezmiernie mało. Ponieważ faktyczne rezultaty głosowania są już czytelnikom *Prawdy* znane, więc tu zatrzymać tylko chcemy ich uwagę nad jego znaczeniem, jako etapem w rozwoju politycznej strony stosunków klasowych Francyi.

Najcharakterystyczniejszym punktem zwrotnym, cechującym te wybory, jest zniknięcie ogólnej partyi radykalnej; zjawisko to streszcza w sobie znaczenie głosowania, jak cztery lata temu streszczało je zwycięztwo nad bulanżyzmem. W upadku Floqueta, Clémenceau, Maujana, Pichona widzieć należy nietylko karę, wymierzoną za ich osobiste matactwa — bo dwaj ostatni byli np. niewinni, a znów niejeden zmazany, jak Rouvier i Wilson, wszedł do parlamentu — lecz potępienie całego programu, który od upadku drugiego cesarstwa, a szczególnie od wyboru Grévego, narzucał się większości republikańskiej, jak kupcowi, pragnącemu pokonać w licytacyi spółzawodników, narzuca się najwyższa suma, możebna dla jego kieszeni. W gruncie rzeczy krzywiła się ona na ten program, jak kupiec na samą myśl o wypłacie...

Prawie od początku bieżącego stulecia mieszczaństwo francuskie parło ku rzeczpospolitej, gdyż żaden z dwóch systemów monarchicznych, które im ofiarowano, nie zaspakajał ich potrzeb klasowych. Orleanizm — że nie wspomnę już o zasadniczo przedrewolucyjnym burbonizmie — opanowany wcześnie przez giełdziarską plutokracyę i bogatą miejską arystokracyę, stawiał tamę konsekwentnemu rozwojowi parlamentaryzmu, jedynej formy prawdziwej, w której mieszczaństwo przemysłowe i wznoszące się mogło skutecznie przystosowywać władzę do swych potrzeb i przez wolną dyskusyę uwzględnić interesy każdej ze swych grup. Bonapartyzm znowu, opasły na chłopstwie i wyrastającem z niego wojsku, swą militarną awanturniczością bezustanku zakłócał pokój i porządek, niezbędny do pomyślnego biegu wszelkich tranzakcyj. Tym sposobem rzeczpospolita, a właściwie parlamentaryzm (we Francyi te dwa pojęcia się zlewają, gdyż ktokolwiek mówi o prawodawstwie bezpośredniem, otrzymuje tytuł imperyalisty), stało się klasowym ideałem politycznym mieszczaństwa, dążącego do bogactwa.

Za Napoleona III ogromna część drobnego mieszczaństwa francuskiego była na tej drodze, przynajmniej w swem własnem przekonaniu. Rozwój wielkiego przemysłu nie zaszedł jeszcze tak daleko, aby wykluczył wszelką nadzieję naprawy stosunków bez odrzucenia całego systemu gospodarczego i projekty półśrodków rodzić się zaczęły swobodnie; za pierwszy jednak warunek ich przeprowadzenia stawiano republikańską formę rządu. Najgorętszymi i najwięcej poświęconymi republikanami byli drobni rzemieślnicy i kupcy, t. zw. przez Poulita w r. 1869 „rez-de-chaussée,“ gdyż mieszkali oni zwykle na parterze; przyłączył się do nich niepozbawiony jeszcze złudzeń proletaryat i na tych barkach, pośrednio tylko interesowanych, zbudowana została rzeczpospolita. Ponieważ ciągła walka najpierw z t. zw. „ordre moral“ Mac-Mahona, a potem ze spiskami kandydatów, wymagała zrzeszenia sił, ponieważ owa osławiona „koncentracya republikańska“ niemożebna była bez pokazania każdemu korzyści z rzeczpospolitej, mieszczaństwo najwyższych warstw zachodziło coraz dalej w swych radykalnych obietnicach programowych. Lecz że drobne, zrozpaczone postępem wielkiego kapitalizmu, stawiało żądania coraz zuchwalsze i krytykowało coraz radykalniej stan rzeczy, więc mu nikt dogodzić nie mógł, a ono niczem ustalić się nie dawało i coraz gorszy zamęt panował w rządach.

Stłumiono wreszcie „ostatni zajazd,“ ostatni zamach na parlamentaryzm w osobie Boulangera; korzystano przytem ze skwapliwej pomocy nawet socyalistów, jak Brousse i Vaillant. Lecz odtąd koncentracya przestała być potrzebą, a radykalizm podporą rzeczpospolitej: ostatnim też gabinetem radykalnym był w r. 1889 gabinet Floqueta. Odtąd zaczął się rządowy odwrót na prawo. Na ekonomiczne i polityczne projekty lewicy zaczęto się otwarcie oburzać lub je wyśmiewać i pojawili się w niej renegaci, jak Yves Guyot. Gdy — że użyjemy utartego w innych warunkach wyrażenia — zdobyto sobie chałupę z szyldem „R. F.,“ postanowiono się w niej zagospodarować i zaczęto od tego, że pokazano drzwi wszelkiego rodzaju niespokojnym duchom, a otwarto je naoścież wszystkim uczciwym a spokojnym gospodarzom. Zaznaczone dawniej różnymi ideowymi mundurami pokrewieństwo między mieszczaństwem monarchicznem, mniej ufnem i ostrożniejszem, jak rentyerzy z Passy, a mieszczaństwem republikańskiem, rzutniejszem i odważniejszem, jak wielcy przedsiębiorcy, wyszli na jaw i pierwsze, nawrócone do rzeczpospolitej, przyjęte zostało przez drugie dość gościnnie, jak na ludzi zazdrosnych o zdobyte prerogatywy. Spora część radykalnego drobnego mieszczaństwa, będąca w lepszem położeniu majątkowem, skłonniejsza do złudzeń, a przestraszona krańcowemi żądaniami swych dawnych towarzyszów, cofnęła się i z całego dawnego programu dbać będzie nadal jedynie o utrzymanie szkoły świeckiej, zakazu kongregacyj, służby wojskowej duchowieństwa. Tym sposobem utworzyła się większość na czas dłuższy i odtąd spodziewać się można na pewno, że mieszczaństwo w stałym pokoju i niezmąconym ładzie zbogacać będzie piękną Francyę...

A jakąż rolę odegra opozycya? Z prawej strony topnieć ona będzie coraz bardziej i coraz szybciej; wierni słudzy kandydatów zobaczą, że im się służba nie opłaca ani papką, ani czapką i wymówią miejsce. Nie zasługują oni nawet na bliższy rozbiór. Co do skrajnej lewicy, skład jej jest dość ciekawy. Prawie wszystkie pisma nasze, podając ilość jej członków za urzędowymi biuletynami na siedemdziesięciu kilku, zaopatrzyły wszystkich w etykietę socyalistów; jest to brak znajomości stosunków miejscowych. W ciągu ostatnich dwóch lat wzmagać się zaczął we Francyi, wyrażony szczególniej w r. b., prąd do używania nazwy socyalistów, którą sobie wogóle tam nadają partye bynajmniej nie socyalistyczne. Podkładem klasowym tego kierunku jest drobne mieszczaństwo, najbardziej zagrożone przez wielki kapitał i stojące już jedną nogą na gruncie proletaryatu; powagą — stary René Goblet, b. prezes ministrów, opuszczający krzesło senatorskie dla ławki deputowanego, duszą — jego dawny organ *La petite République française* ze swym nowym redaktorem naczelnym Millerandem. Odrzucając kategorycznie zasadę „laisser faire," Millerand żąda upaństwowienia Banku francuskiego (będącego dotychczas przywilejem Rotszyldów), kolei żelaznych i kopalni: żądania, jak widzimy, gdzieindziej urzeczywistnione przez mieszczaństwo rządzące, wyrosły u millerandzistów ze złudnego przekonania, że ojczyzna, w ich osobie, rychło uszczęśliwi pracujących dla jej dobra proletaryuszów. Partya ta, nazywająca się „republikanami socyalnymi" daleką jest od kolektywizmu, przeciw któremu zastrzega się wyraźnie, z niechęcią też przyznaje się do międzynarodowości i uznawania walki klas. Właściwych socyalistów-kolektywistów wszystkich grup (possybilistów odcieni Brousse'a i Allemane'a, blankistów z Vaillantem i marxistów z młodym Juliuszem Guesde'em, zamiast Lafargue'a na czele) wybrano około 30. Ponieważ guesdyści, odstępując tu od zgodnych uchwał wielu kongresów, przyjmują za swój program minimum owego millerandowskiego upaństwowienia, a socyalni republikanie, wyrzuceni stanowczo za drzwi przez oportunistyczny radykalizm urzędowy, będą się musieli siłą rzeczy posunąć coraz dalej, przeto dość prawdopodobnem jest powstanie w niedalekiej przyszłości stronnictwa mieszanego o fizyognomii podobnej do niemieckiej demokracyi społecznej. Gdy w Niemczech drobne mieszczaństwo, zapędziwszy się początkowo aż do uznania maksymalnego programu proletaryatu, kolektywizmu, nadało później taktyce partyjnej charakter possybilistyczny, we Francyi dopnie ono tego samego celu, czyniąc na korzyść tego ostatniego dążenia powolne ustępstwa teoretyczne. Być może, że później nastąpi nowy rozłam, podobny do tego, jaki obecnie przygotowuje się w Niemczech. W każdym jednak razie można twierdzić napewno, że przez czas przynajmniej bieżącej kadencyi czteroletniej ład i konsekwencya gospodarki mieszczańskiej zakłócone nie zostaną.

Kazimierz Krauz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Precz z Izbą lordów! To znowu: precz z bilem irlandzkim! Okrzyki te w prasie angielskiej i w opinii publicznej tak ciągle się zmieniają, że nie wiadomo, który z nich wyraża przekonanie większości narodu. Zdawałoby się, że Izba lordów, która odrzuciła bill prawie bez rozpraw i która rzeczywiście jest tamą w rozwoju prawodawczym Anglii, nasunęła społeczeństwu znowu myśl zburzenia tej rudery, ale z drugiej strony ów bill nie musi budzić wielkiej sympatyi, jeżeli sami przedstawiciele „ligi narodowej" irlandzkiej uznali go bez wartości. Unioniści domagają się od Gladstone'a, ażeby rozwiązał Izbę gmin i po raz drugi odwołał się do narodu, a nawet podobno żąda tego królowa, on jednak — opiera się, gdyż chce wprzódy przeprowadzić w parlamencie szereg reformatorskich wniosków ustawodawczych, które zapewnią popularność jego stronnictwu. W Anglii musi żyć bardzo długo mąż stanu, który zamyśla dokonać jakiejś zmiany w jej ustroju, wątpimy zatem, czy Gladstone'owi na to ostatnie przedsięwzięcie czasu starczy.

Cesarz niemiecki odbywając manewry w prowincyach zabranych Francyi przy każdej sposobności dogadza swej znanej słabostce i wypowiada mowy polityczne, które jednakże nie brzmią ani tak energicznie, ani tak niepokojąco, jak dawniejsze. Nauczony doświadczeniem, stał on się ostrożniejszym w słowach i jest bardziej świadom ich doniosłości. To też obecne jego mowy nie zawierają żadnych gróźb, ale raczej słodycze dla książąt rzeszy i wojsk. Jedną tylko nutę wybija stale i mocno: przynależytość Alzacyi i Lotaryngii do Niemiec oraz gotowość bronienia tych nabytków całą siłą państwa. Naturalnie ta nuta drażni uszy sąsiadki, która wszelkimi sposobami stara się zaznaczyć swój nienawistny nastrój.

Francya czyni wielkie przygotowania na przyjęcie eskardy ruskiej w Tulonie. Cała prasa skojarzyła się w tym celu, gminy miejskie wyznaczyły kolosalne sumy a znana redaktorka *Nouvelle revue*, pani Adam, wzywa kobiety całej Francyi do składek na upominki dla żon marynarzów ruskich, którzy przypłyną z eskardą. Jednocześnie wniesiono, ażeby zmieniono nazwy niektórych ulic: Boulevard des Italiens na B. des Russes, Boulevard Sebastopol — na B. Kronstad, Avenue Malakoff — na Av. d'amiral Avelane (nazwisko dowodzącego eskardą ruską), Avenue Alma — na Av. du 13 Octobre.

Śród tych przygotowań spadł na francuzów nieoczekiwany grom: ich szef sztabu generalnego, gen. Miribel, zmarł nagle. Uważano go za głowę genialną, za kierownika przyszłej wojny, za Moltkego Francyi — stąd żal powszechny.

Rząd austryacki postanowił okiełznać młodoczechów i pokazać im swą siłę. W Pradze i okręgach sąsiednich ogłoszono t. z. „mały stan oblężenia," znoszący swobodę zgromadzeń, wolność prasy itd.

Jak się okazuje, Bismark bardzo ciężko zaniemógł w Kissingen, gdzie dotąd leży i nie może być przewieziony do Friedrichs-

---

16)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

XXII.

I widział Enoch teraz wszystko, wszystko widział tak piekielnie, jasno. Miłował świat i ubóstwiał zawsze. Bóg rzekł: wszystko, co twojem jest, sprzedasz i oddasz ubogim, ale Enoch pomyślał: nie! Odrzucił słowo boże, własne chciał mieć zdanie. Zatwardziałym był, jak Faraon. Słyszał, jak duch w sercu jego świadczy sprawiedliwie, a udał głuchego; grzeszył rozmyślnie. W słowie bożem zwało się to: „grzechem śmiertelnym..." Usiłował wykupić się za pomocą drobnych ofiar, za pomocą „dzieciąt Jezusowych"; tu i owdzie rzucił miarkę mąki, którą opłacać sobie kazał — pracą... ech! ech! Enoch krzywił się, wyglądał jak obłąkany.

Okropny nadszedł czas dla Enocha. Wyrok był wydany, pieczęć — przyłożona. Zabrzmiało już pierwsze „biada"! i drugie, i trzecie; czwarte już niedaleko... „Biada, biada, biada tym, co mieszkają na ziemi." W słowie bożem nie znajdował już dla siebie pociechy, tylko klątwę. „Bo kto prawdę poznał, a grzeszy dobrowolnie, dla tego nie ma już za grzech ofiary, a jest tylko straszne oczekiwanie sądu..." straszne oczekiwanie... „Bo niemożebnem jest, aby ci, co daru niebieskiego zakosztowali"; niemożebne, niemożebne..." Wrzuceni zostaną w morze ogniste, w morze ogniem i siarką płonące, a dym ich męki unosić się będzie w przestworzu na wieki..." Na wieki, na wieki, na wieki...

Zatrząsł się. Palce ścięły mu się lodem, kolana omdlały, zaćmiło się w głowie.

Zapóźno, teraz już zapóźno. Tak długo serce swe czynił twardem, że oto dziś z rozkazu bożego twardnieje. Sam się badał: wcale nie chciał działać dłużej wedle woli bożej. Nie mógł chcieć, nie chciał. I gdyby z niebios zstąpił anioł i rzekł mu: „Sprzedaj twój dobytek i oddaj go ubogim"— nie zechce; nie chciał, nie; nie mógł chcieć... I Bóg twardem uczynił serce Faraona...

A w dodatku, takie piekące, gryzące szyderstwo, — że okradło go własne jego „dziecię Jezusowe..." i Tomasz... ech, ech! I żadnej łaski, przebaczenia żadnego! Innym zwrócono przedmioty skradzione; lecz srebro Enocha przepadło, zniknęło. To już nie była zabawka.

Od Carolusa nadszedł długi list, pełen skruchy i pobożnych fazesów; Enoch nie mógł czytać, takie to było wstrętne. Odczytał tylko koniec: „za wielką naszą skruchę i uczciwe zeznania zamieniono nam dom poprawczy na rok więzienia; przyrzekam uroczyście Bogu i Wam, Enochu, że z chwilą, gdy stąd wyjdę, nowe rozpocznę życie..." Teremtetu! mruknął Enoch teremtetu!..

Pełen niepokoju spieszył z miejsca na miejsce, cierpliwości nie mając do pracy, ani wywczasu — w spoczynku. Wchodził i wychodził, wychodził i wchodził: dopiero co był w piwnicy, a już słyszano go na strychu, zaledwie skręcił koło domu, a już znaleźć go nie było można. Zapominał, po co szedł i dokąd dążył, rozpoczynał robotę i odkładał ją; wszystko przecież było daremne, żadnych nie dawało nadziei. Lada czem się trwożył, wszystko odbierało mu odwagę; uciekał w trawiącym go niepokoju, że aż zimny pot skraplał mu skronie; zgrozą było patrzeć na to. Częstokroć był jakby nieprzytomnym, wpadał w zadumę stawał, niby czarem zaklęty, w samym środku drogi, w połowie piętra, z którego schodził; klaskał palcami, mruczał jakieś wyrazy bez związku, okropne: na wieki, na wieki, na wieki...; poczem, jakby spłoszony, spieszył dalej, dalej, znowu dalej, bez celu, bez spoczynku.

Czasem brakło mu nawet cierpliwości, aby wysiedzieć przy stole. Rzucał się na krzesło, któremuś z dzieci odmówić kazał modlitwę, połykał kilka kęsów i uciekał. Nie mam odwagi jeść — bełkotał — wszystkie jadło przeklętem jest... przeklętem... Wyciągnął skórzaną swoją odzież i ubrał się w nią. Pacierz powtarzał rano i wieczorem, lecz tak, że zgrozą przejmował obecnych. Wszystkie piękne słowa pociechy opuszczał albo przekręcał, jak gdyby do niego stosować się nie mogły. Gdy jednak przychodziły miejsca straszne, o grzechu i gubie, o śmierci i karze, krzyczał tak głośno, tak dziko, tak wyraźnie do

ruhe. W chorobie jego miały wystąpić objawy groźne.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

„Estetyzm“ i etyka. — Vernon Lee. — Swinburne. — Morris.

Pod niebem pochmurnem Anglii wykluli się najgorętsi poszukiwacze ideału i najgorętsi miłośnicy piękna, jacy w naszem stuleciu istnieli — prerafaeliści. Ideału, niestety, szukali nie w przyszłości, lecz w przeszłości i piękno oderwali od życia. Po krótszym lub dłuższym czasie musieli więc zwyrodnieć. Prerafaeliści są poprzednikami i ojcami obecnych „estetów,“ którzy bardzo niewiele się różnią od francuskiej dekadencyi. Tamci byli uczniami Dantego i Giotta, natchnienia szukali w wiekach średnich i w zorzy Odrodzenia. Ci łączą mistycyzm religijny z kultem Baudelaire'a. To, co dla pierwszych było tęsknotą szczerą, jakkolwiek trochę chorobliwą, stało się u drugich afektacyą, manierą i „najświeższą ciekawością.“ Możnaby zresztą nie mieć nic przeciw dziwactwom i wybrykom — w których zresztą często kryje się wielka doza oryginalności — gdyby one służyły za formę treści głębszej. Ale właśnie tego brak. Połączyły się one co najwyżej z protestem przeciw formalizmowi angielskiemu, nietylko w dziełach, ale i w życiu. Napady na *cant* i przesądy moralne mieszczaństwa, chęć odurzenia filistrów archaizmem mowy, mebli lub odzieży i wyścigi w celu przewyższenia jedni drugich we wszystkich tych wielkich rzeczach wyczerpuje dążenia życiowe „estetów“ angielskich. Dodajmy, iż powyższe urągania przesądom nie są żadnym męzkim protestem, lecz zwykłem, sprośnem warcholstwem. Ich najazdy na bogaczów kończą się wzięciem dobrego posagu, a na małżeństwo—życiem na utrzymaniu. Wogóle jest to mielenie powietrza. Jaskrawy przykład tego „estetyzmu“ w literaturze przytoczyliśmy niedawno na Oskarze Wilde. Zupełniejszą satyrę tego kierunku daje nam Vernon Lee w powieści p. t. „Miss Brown.“ Pseudonym znanego w Anglii krytyka artystycznego okrywa kobietę, panią Paget. Jest to realistka w duchu pisarzy ruskich (jak np. Turgeniew), tylko że natężenie życia moralnego dochodzi w niej do niesłychanych rozmiarów. Pisała głównie prace krytyczne o wieku Odrodzenia *) i dyalogi o ideach i dążeniach naszych czasów **).

W powieści swej autorka zaznajamia nas z towarzystwem dekadenckiem Anglii, lubującem się w powłóczystych i zwiędłego koloru materyach, w kobietach bladych, bohaterkach miłości platonicznych, w wizyach idealno-mistycznych. Są tu wszyscy odkrywcy nieznanych dreszczów i niezwykłych prozodyj, okultyści, kabaliści, zwaryowani wagnerzyści, wszyscy żądni nie wiadomo czego. Jest w tym świecie zarówno w Anglii, jak i we Francyi, wielu blagierów i bzikowatych, których niemoc wydaje się tylko wciąż w porodach czegoś niewymownego, ale z drugiej strony nie trzeba zapominać, iż często pod dziwną estetyką kryje się wyraz istotnej potrzeby. Niektórych ludzi formy starożytne sztuki obrażają zbytnią ścisłością i śmiałością wykonania, wydają się im niezdolnemi wyrazić wszystkiego, co czują ukrytem w rzeczach. Na to pewna część krytyki odpowiada, że te suggestye, te strony nieuchwytne są wyrazem nastrojów tak subtelnych, iż artysta nie może ich oddać, iż muszą się rozpierzchnąć w chwili wykonania, lecz odradzają się natomiast, gdy raz forma ściśle i śmiało ustanowiona została z samejże formy — w czytelniku. Dzieła największe, jeżeli są istotnie piękne, stają się, jakkolwiek wykończone, w myśli naszej najbardziej tajemniczemi i najbogatszemi w marzenia. Możnaby tu istotnie przytoczyć chociażby drugą część „Fausta,“ która jest tak obfitą w suggestye, jakkolwiek Goethe nigdy nie przyznałby estetyki dekadentów. Z drugiej wszakże strony, jeżeli zważymy, iż ta część dzieła stoi nieskończenie wyżej, niż pierwsza — jest to wspaniała świątynia i nieznaczny portyk ku niej — i że wyższość ta opiera się właśnie na tem, iż druga część ma w sobie mniej anegdotycznego, a jest bardziej bogata w symbole, esencye różnych filozofij i nastrojów — to zrobimy krok, który oba stanowiska pozwala pogodzić. Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami dekadencyi: jej brak ideałów, jej oderwanie ich od życia, a po części fanfaronada i blaga są wstrętne; ale trzeba przyznać, iż omijanie anegdoty i tworzenie wyciągów mocnych, umieszczonych w klejnotach starannie szlifowanych, jest istotnie najśmielszą i najdalej posuniętą próbą skroplenia marzeń, uwięzienia tego, co jest w rzeczach ukrytem. Wprawdzie wszyscy wielcy pisarze tego się dobijali: dość wspomnieć np. tę wielką i bolesną melancholię bytu, która się wydziela z ostatniej sceny dzieła Shakespearowskiego, ze słów Hamleta, osuniętego na ramieniu przyjaciela, umierającego śród tych trupów, z brzęku korony padającej z łoskotem po stopniach tronu. Wszystkie dane są tu jasne, zrozumiałe, wykonanie jest ściśle i śmiałe, a jednak potęga suggestyi jest wprost wstrząsająca. Nie uważalibyśmy wszakże za złe, gdyby ktoś chciał zebrać unoszący się nad tą sceną czar i uwięzić go pod zaklęciem symbolów w innej zupełnie formie. Może nas zachwycać nietylko kwiat, który oglądamy w ogrodzie, ale i jego zapach, uwięziony w krysztale, gdy go odnajdujemy w dawno zapomnianej szufladzie. Która forma jest wyższa, trudno orzec, ale potępiać jedną z nich byłoby szaleństwem; czyż ktokolwiek odważyłby się potępiać lilie na korzyść róż i odwrotnie? Wprawdzie moda może w danej epoce wynieść jedną formę nad drugą, ale to niczego nie dowodzi. Z punktu widzenia piękna wszystkie są równouprawnione. Tak samo trzeba ściśle oddzielać sąd moralny od estetycznego. Wszyscy się zgadzamy, iż Cezar Borgia był wielkim zbrodniarzem, nie przeszkadza to wszakże,

*) *Euphorion*, studies of the antique and medieval in the Renaiscance.

**) *Baldwin, a book of dialogues.*

---

siebie się zwracając, że krew w żyłach zmroził. Źle z nim było, źle. Dawny lęk znów pierś mu przygniatał, tylko gorzej... Zimniejszy był, legł głębiej, legł i gniótł jak lodowy chłód śmierci. On to nie dawał mu spokoju... A potem te dzikie myśli, ze strachu zrodzone, co gryzły go, gryzły bezustannie. Okropne myśli pełne bluźnierstwa, tak okropne, że aż sam przed sobą uciekał; grom musi uderzyć; ziemia rozstąpić się musi.

Gdyby przynajmniej mógł spać! Nie śmiał. Trwoga stawała się tak wielką, tak czujną; wokoło niego budziło się coś i czuwało, coś, co było jakby ponurym, zmartwiałym strachem, a miało wielkie, strwożone, konające źrenice; zdrzemnął się i zaraz już się zrywał, spocony, drżący.

Rzadko kiedy zasypiał przed rankiem; wtedy jednak sny ogarniały go swoją siecią. Zawisł na szczycie jakiejś wieży kościelnej; leżał i wdrapywał się, bez gruntu pod nogami, na jakiś wysoki, spadzisty dach; wyślizgnie się, wyślizgnie nieuchronnie...' a nie spadał. Albo też zjeżdżał po urwistej skale, która stawała się coraz prostszą, wreszcie zmieniała się na nagą, urwistą ścianę góry, schodzącą daleko pod ziemię, daleko... a lecieć musiał na samo dno przepaści. Albo też dopuścił się złego postępku; zabił kogoś; biegł tedy i uciekał przed wójtem, który chciał go schwytać; nieraz był skazanym i miano dopełnić wyroku; śniąc, myślał tylko o tem; ale zawsze coś przeszkodziło; stał już pod szubienicą; stał i patrzał na pień i siekierę; lecz przewlekała się ta ostateczna chwila, przewlekała się i była tylko tym jednym, długim lękiem śmiertelnym. Raz śnił, że znajduje się w wielkiej, obszernej piwnicy; a piwnica ta była piekłem. Zarzynał barany, jednego za drugim bił i na śmierć zakłuwał; lecz czuł przytem taką trwogę, jak gdyby popełniał coś strasznego. A kiedy spojrzał, zobaczył, że to nie barany pouśmiercał, lecz własne dzieci. Leżały na ziemi — trup koło trupa; najdalej — Anna z niemowlęciem przy piersi; Gunnar podniósł zdrętwiałe ramię, które było zupełnie porąbane. Jęczał we śnie tak, że musiano go obudzić. Przyszedł pastor, nic jednak nie wskórał. Bo niemożebnem jest... niemożebnem... Posłano po Larsa Danielsena; pracował nad Enochem całe popołudnie, lecz i to nie pomogło...

Jeszcze raz nastała wiosna — przykra, burzliwa, ospała, która żadną miarą w lato przejść nie chciała. Wicher północno-zachodni dął dniem i nocą; na Zielone Świątki ścisnął mróz, a na św. Jan spadł śnieg; czyżby tym razem jasność nie miała zwyciężyć mroku?

Enoch włóczył, ociągał, wałęsał się chwiejnym krokiem, po największej części będąc jakby zupełnie nieprzytomnym. Dziwnie tracił pamięć i wolę; bywały dnie, kiedy Anna mówić mu musiała, co ma robić, jak dziecku. Jęczał zawsze, że chce umrzeć. Wszystko jedno, dokąd się dostanie; byleby tylko zszedł z tego świata; „wtedy i Gunnar wróci i wszystkim wam dobrze będzie...“

— Czyś nigdy nie pomyślał o tem, żeby poradzić się doktora? — spytała go.

Stał obrócony do niej tyłem, klaskał palcami.

— Doktora? — wybuchnął — a to co za dyabelskie podszepty?

— Ja sądzę, że jesteś poprostu chory; gdyby ci dano jakiś środek, żebyś lepiej sypiał.

— Sypiał? Nie śmiem spać. Zdaje mi się, że opór stawić dyabłu mogę wtedy tylko, gdy czuwam,

— Ale rozumiesz chyba, że musi ci się źle zrobić, skoro sypiać nie możesz!

Zwrócił się ku niej. Twarz jego okryta była niegoloną brodą, zdrętwiała, skrzywiona; oczy zbielałe, zimne, wyszły na wierzch; niktby wiary nie dał, że to był Enoch.

— Do stokroć tysięcy! — przerwał, wydało się, jakoby mu zaświtała jakaś myśl nowa.

— A znasz takiego doktora, który nie wierzy?

Zbladła śmiertelnie.

— Co mówisz?

Zamilkł, odeszła go odwaga. Gdyby istniał na ziemi człowiek, któryby mnie mógł przekonać... że go niema...

— Ale, wstydziłbyś się, Enoch!

— Gdyby tak być cyganem. Cyganom dobrze; w nic nie wierzą...

Nagle się odwrócił, odszedł — znowu stanął.

— Czy myślisz, że pomogłoby, gdybym pić zaczął?

Nic odpowiedziała. Tak narwanym nie widziała go jeszcze nigdy.

Powlókł się dalej.

(D. c. n.)

abyśmy przyznali, iż Nietzsche, dla którego tamten był bohaterem, jest artystą pierwszorzędnym, jedynym genialnym pisarzem, którym literatura niemiecka poszczycić się obecnie może. Nawet sam Borgia, ten niewątpliwy potwór, stanowi jednak dla studyów artystycznych nader wdzięczny przedmiot. Otóż do takiego rozróżnienia krytyka angielska rzadko jest zdolna. Vernon Lee np. potępia hurtem „estetów“ za ich obojętność moralną.

Powróćmy wszakże do powieści. Walter Hamlin jest estetą dziwakiem. Świat stanowi dlań bladą, pryzmatyczną mgłę, pełną niejasnych cieniów, świat marzeń — jedyny, który uważa za realny. Zresztą jest obojętny na wszystko. Spotkawszy we Włoszech piękną bonę angielską, miss Brown, chce odegrać względem niej rolę Pygmaliona, obudzić do myśli ten wspaniały posąg, wytworzyć z niej kobietę ideał, który mógłby kochać. Po daniu jej pierwszego wykształcenia na pensyi wprowadza ją do towarzystwa estetów, które jest wyższe nad przesądy i przyjmuje z otwartemi ramionami tę byłą bonę. Autorka przedstawia je, jak rzekliśmy, złośliwie. Jest tu pani Argyvopulo, żona kupca rodzynek, uganiająca się za towarzystwem literatów i artystów, C. Chough, demokrata, któryby chętnie uchodził za pobocznego syna jakiegoś lorda, opiewający w swych pieśniach tylko Messalinę i Frynę, a który w rzeczywistości jest wzorowym ojcem licznej rodziny, Demistoun, poeta przewrotności, miłości wyuzdanej, okrutnej, Lewis malarz piękna chorobliwego — *loveliness in decay* — i obrazów fantastycznych, muzycy wagneryści, dramaturdzy zachwycający się poprzednikami Shakespeare'a — wszyscy oni uważają moralność za coś przestarzałego i śmiesznego i sądzą, że w imieniu sztuki wszystko jest dozwolone. Pod temi wizerunkami nie trudno odgadnąć Swineburne'a, Payne'a, Wilde'a, a nawet największego malarza obecnej Anglii, Burne Jonesa i in. Autorka tak jest oburzona na artystów, iż w ostatnich swych pracach krytycznych wyrzeka już nie tylko na estetów, ale na estetykę wogóle, stawiając po nad nią moralność i pracę dla bliźnich. Zobaczymy, jak się zapatrują na stosunek dwu tych dziedzin Swineburne i Morris. Swineburne przedstawia nam niesłychaną intelektualną niezależność od zwykłych wzruszeń ludzkich. Poezya i przyroda całkiem go pochłaniają. Jego najsilniejsze namiętności, to żywiołowe stosunki względem słońca i morza: chciałby się rozpłynąć w świetle płynącem lub w huczącym oceanie. Przypisuje sobie symboliczne pokrewieństwo z „Sun-God'em“ i przybiera nazwisko „Thalassius'a.“ Rozumie się temperament tak żywotny nie mógł zupełnie wyminąć uczuć osobistych: poeta wielokrotnie przebywał cierniową drogę miłości — ale z tych pielgrzymek morze, jego matka, wciąż go napowrót odwołuje. Z entuzyazmem śpiewa Lukrecyuszowskie ślepe potęgi, które rządzą światem, nie dbając o ludzkie szczęście lub cierpienia. Znużony, marzy często o spokoju niebytu.

Morris przenosi nas do zupełnie innej strefy wzruszeń. Jest to filozof również beznadziejny, ale nie tak obojętny na nadzieję. Spragniony delikatnych rozkoszy stanowiących czar życia, ale pogodę jego ducha przesłania cień niechybnego końca. Jest to przedewszystkiem poeta miłości, ale w jego zachwytach jęczy wciąż ta, niepostrzeżona prawie, nuta żalu, iż życie jest tak przelotne, a rozkosz znikoma. Może ten właśnie odcień rozpaczy wzbudza w nim tę namiętną jego miłość wolności i niczem niehamowanego palenia się w promieniach słońca, użycia, które chciałby uczynić dostępnem dla wszystkich. Gdy na dworze jest zawieja — powiada gdzieś Turgeniew — i gdy znajduję się samotny z psem w pokoju, czuję bardzo wyraźnie nić sympatyi głębokiej, która mnie wiąże z nim jako istotą żywą. Beznadziejność może przytępić potęgę egoizmu, zbliżyć ludzi ku sobie, którzy czują potrzebę wzajemnego ogrzania się w tym oceanie zimnego niebytu. Jest rzeczą naturalną, iż w miarę tego, jak ludzie tracić będą swe wierzenia, a energia namiętności zużyje się dzięki naukowemu myśleniu, coraz bardziej uważać będą egoizm za próżny i beztreściwy. Wówczas rzekną sobie: „ponieważ nie wiemy nic i nie mamy żadnej nadziei — występujemy tylko przez chwilę na jednej z najdrobniejszych planet, która niezgrabnie się obraca koło swej osi po to tylko, aby wnet się pogrążyć w otchłań niebytu — więc starajmy się, żeby pozorne to istnienie nie było zbyt bolesnem, urąganiu zimnego chaosu przeciwstawmy gorącą miłość — kochajmy się.“ Beznadziejność może dostarczyć bardziej rzeczywistego węzła duchów, niż wszelkie wierzenia i egoistyczne nadzieje nagrody lub kary. Morris jest właśnie jednym z przedstawicieli tego stanu ducha. Jest to czyste źródło, z którego tryskają kryształowe zdroje miłości. Tak wspaniałego zjawiska świat od czasów Shelleya nie widział. I, rzecz godna uwagi, oba łączą te poloty uczucia nie z teoryą ascetyzmu, lecz przeciwnie, są gorącymi zwolennikami pogaństwa, tej szalonej uczty życia. Tylko *Prometeusz wyzwolony* dumnie napawa się zwycięztwem pośród boskich — i jak szlachetnie nakreślonych — Oceanid, pewny siebie i nieznający ani żalów, ani zgryzot, podczas gdy u Morrisa mamy szaloną „podróż do Cythery“, niepozbawioną wszakże cichej melancholii, a może i odcienia rozpaczy. Istotnie, jego ideał przyszłości najbardziej mi przypomina słynny obraz Watteau, który mnie często w Louvrze ku sobie przykuwał. Poeta, jakby przez obawę myśli i jej męczarni, filozofię zupełnie odrzuca, nauka i sztuka schodzą na drugi plan, oddaje zaś nam przyrodę, ćwiczenia na otwartem powietrzu i obfitość rozkosznych kobiet. A więc, kochajcie, Mesdames, śmiało i bez obawy — (mężczyzn nie trzeba zapraszać) — bądźcie uśmiechem, bądźcie muzyką, bądźcie gracyą! Będziem śmiało odbijać od brzegów życia i pogrążać się w tajemniczą otchłań niebytu, obejmując waszą boską kibić jedną ręką, a potrząsając w drugiej wieńcami z róż! Kwestya bytu nie mogła być bardziej czarująco rozstrzygnięta, niż ją Morris rozstrzyga. Niema u niego tej sprzeczności między pięknem i moralnością, jaką Vernon Lee upatruje: poeta łączy je w jednej wyższej syntezie reformy społecznej — jest to jedyna rzeczywiście droga prowadząca do celu. Swineborne na tę kwestyę pozostaje zupełnie obojętny. Społeczne jego dążenia wyczerpywały się niegdyś śpiewami na cześć Rzeczpospolitej, zresztą oddał się zupełnie sztuce, która jest całkiem niezależna od losów świata moralnego, a poetyczna imaginacya prowadziła go często do stawania z nim w sprzeczności. Do szlachetnej syntezy Morisowskiej nigdy się nie wzniósł. Z obojętnością, z zadowoleniem mówi o przelotności życia. W swym „Garden of Proserpine“ przedstawia głębokie znużenie ludzi, którzy mieli dużo miłości. Jest tu więcej niż zadowolenie, iż spać będzie przez burze przyszłości. Nie, jest tu głębokie wyrzeczenie się życia...

L. W.

MEDYCYNA W POWIEŚCI.

Zapowne, utwór literacki, któryby nie zawierał nic więcej, tylko szczegółowy opis pędzenia wódki, utwór pozbawiony zupełnie myśli i ducha, nie byłby klejnotem literatury, ani autor jego geniuszem. Mielibyśmy w najlepszym razie nowy przewodnik dla gorzelanych. Lecz jeśli dajmy na to, akcya powieści rozwija się na tle życia pracowników gorzelni, jeśli w kanwę wydarzeń wplecione być muszą opisy urządzeń technicznych, to mamy chyba prawo żądać, żeby nie żartowano sobie z czytelnika, żeby to, co mu się podaje jako opis pędzenia wódki, nie było ani fabrykacyą wody sodowej, ani gospodarskim sposobem przyrządzania soku malinowego.

O ile zatem Jellenta ma racyę, twierdząc, że współczesnym zbawcom literatury przygasł wzrok duchowy, że opadły im skrzydła, że brak im siły do wielkich pragnień i szerokich porywów, o tyle myli się, gdy mówi, że w odtwarzaniu poszczególnych czynności i przedmiotów są gruntowni i sumienni, jak uczeni. W tej dziedzinie przynajmniej, którą chcę wziąć tutaj w obronę, tj. w zakresie przyrodoznawstwa i medycyny fantazya ich właśnie bywa zupełnie nieokiełznaną i na wysokości swego orlego lotu drwi sobie z nauki i doświadczenia. Malarzów i rzeźbiarzów zasadzono już dawno do podręczników anatomii w przeświadczeniu, że staranne studya nie obniżą wcale estetycznej wartości ich dzieł. Obraz Munkaczego „Chrystus na krzyżu“ (w galeryi drezdeńskiej) nie traci nic ze swej podniosłości i grozy na tem, że wszystkie mięśnie odmalowane są z dokładnością, którąby zaszczyt przyniosła najlepszym atlasom anatomicznym. Tymczasem powieściopisarzów nie obowiązuje żaden cenzus naukowy. Nietylko, że znaczna ich większość nie została wykarmiona, jak tego żąda Jellenta, nowoczesną wiedzą, etyką i socyologią, ale rozpaczliwie często napotyka się absolutną nieznajomość zarówno ogólnych teoryj i zasad naukowych, jak i specyalnych faktów. Wynika z tego, że gdy tak przygotowanemu autorowi przychodzi chętka odtworzenia współczesnego inteligentnego człowieka, analizującego i krytycznego, to stwarza jedynie jeden typ kaleki umysłowego na podobieństwo chociażby owego panicza z „Nafty,“ którego czaszkę, zdaje się, wypełnia nie mózg, lecz „ropa.“ Umysł i charakter w niemałej mierze zastają uśpione pod wpływem nowoczesnych prądów naukowych i uformowane siłą istniejących warunków ekonomicznych, a obserwator, nie zaopatrzony w klucz wiedzy, tyle zdoła w nie przeniknąć, ile rozumie indyanin z mechanizmu zegarka. Odrobiny zaś wiedzy nie zastąpi największy nawet talent.

Co się tyczy poszczególnych faktów, to dzięki znowu tej samej ignorancyi współczesna literatura roi się od humbugów, a panowie literaci tak mało liczą się z warunkami fizycznymi, że ich bohaterowie rzeczywiście nieraz „nabierają wodę przetakiem i podpierają się workiem.“ Zatrzymam się właśnie na tych drobiazgach i wyliczę parę małych, co prawda, ale dających pojęcie o gruntowności i studyach faktów.

Ciekawem jest np., jak rozmaicie uśmiercają swoich bohaterów różni opowiadacze. U jednych po stosunkowo małem skaleczeniu biedna ofiara oddaje Bogu ducha z błyskawiczną szybkością, zdążywszy zaledwie powiedzieć: „umie...“ a „...ram“ musi sobie domyślny czytelnik już w duszy dośpiewać. U innych przeciwnie: otrzymawszy w samo serce kulę albo pchnięcie szpadą, pan Alfons, jak gdyby nic nie zaszło, zaczyna opowiadać dopiero swoje *curiculum vitae*, dzieje całego obfitego w przygody żywota wraz z przestrogami i radami dla potomności i zaledwie po kilkudziesięciu stronicach przypomina sobie, że czas mu już zamknąć oczy i usta na wieki. Pomijam te serca, które z miłości pękają jak bańki mydlane, *notabene* u osobników młodych i zdrowych; ale i w noweli najbardziej utalentowanej i poważa-

nej autorki polskiej umiera ktoś na „artretyzm serca.“ Ma to zapewne być anewryzm, tj. zagłębienie, wyżłobione w ściance serca albo aorty i ulegające łatwo rozdarciu.

Najnowsza powieść Zoli „Le docteur Pascal“ przyniosła nam także niespodziankę. Przyzwyczajeni byliśmy u tego pisarza nie tylko do dobrego rozumienia ogólnych praw przyrodniczych i społecznych, ale i do zgodności z prawdą wtedy, gdy roztaczał plany strategiczne, opowiadał przebieg choroby lub zapoznawał czytelników z urządzeniem kopalni. Operacye chirurgiczne z „La debâcle“ zdradzają znajomość rzeczy, a opis operacyi akuszeryjnej t. z. obrotu w „La joie de vivre“ (tytuł ten błędnie na polski przetłumaczono jako „rozkosze życia“) kwalifikuje się bardzo do... podręcznika akuszeryi. Wolno, naturalnie, sprzeczać się o to, czy takie sceny należą do zakresu beletrystyki i w jakim stosunku znajdują się do uczuć estetycznych ogółu, ale w każdym razie przyznać trzeba, że nie są fałszowane i nie zawierają bredni. Inaczej rzecz się ma z „combustio spontanea“ wujaszka Macquarta. W opowiadaniu Zoli ten stary pijaczyna, który bezskutecznie usiłował ugasić koniakiem swoje bezdenne pragnienie, spalił się, jak bibuła, przesiąknięta spirytusem, wskutek tego, że podczas drzemki tląca się fajka spadła mu na kolana i po pewnym czasie z całego wujaszka została tylko garstka popiołu i... fajka. Widocznie Zola wyobraża sobie, że pijak zamienia się z czasem na zbiornik alkoholu, do którego wystarcza zbliżyć zapałkę, aby stanął cały w płomieniach. W rzeczywistości jednak alkohol ani myśli gromadzić się w organizmie ludzkim lub tworzyć jakieś łatwo zapalne produkty. Zostaje on zużytym i rozłożonym na kwas węglowy i wodę, a mała tylko część (około 5%) wydziela się w postaci niezmienionej. Wogóle zaś spala się człowiek nie tak łatwo. W krematoryum w Gocie doprowadza się temperaturę do 2000 stopni, a pomimo to po dłuższym nawet czasie spalenie nie jest jeszcze zupełnem. Podczas wojny francusko-niemieckiej po jednej z większych bitew, aby nie zatruwać okolicy taką ogromną ilością rozkładających się ciał, próbowano palić je, zamiast grzebać w ziemi. Przekonano się jednak, że trupy pomimo oblania naftą i pokrycia ich słomą i drzewem zaledwie osmalone zostały.

Dziwnem jest, że u Zoli z tej katastrofy ocalała fajka. Bo jeśli Macquart wskutek tego, że przepędzał przez swój organizm duże ilości alkoholu, tak łatwo stał się ofiarą płomieni, to czemu by tytoń takich samych zapalnych własności nie mógł udzielić w ciągu tylu lat fajce, bez względu na to, z jakiego materyału była zrobioną? Logika wymaga, żeby i ona stała się garstką popiołu. W jednym z ostatnich numerów „Emancypantki“ znalazłem prawdziwą perłę chemiczną, mianowicie wiadomość, że ciało człowieka rozkłada się po śmierci na: „tlen, wodór, *tłuszcz* i żelazo.“ Widocznie szanowny kronikarz *Kuryera codziennego* uważa tłuszcz za pierwiastek chemiczny, który można umieścić pomiędzy tlenem i wodorem z jednej, a żelazem z drugiej strony. Jest to chemia spóźniona o przeszło 2000 lat. Za czasów Empedoklesa odkrycie tłuszczu, jako nowego elementu obok ziemi, powietrza, ognia i wody, byłoby należycie ocenionem.

W grywanej obecnie na scenie sztuce „Prawa serca“ jakiś desperat „truje się“ chloralem przepisanym przez lekarkę dla jego dziecka. Jest to zupełnie nieszkodliwa próba samobójstwa. Należy bowiem pamiętać, iż doza zapisana choremu, nawet maksymalna, jest zwykle jeszcze bardzo daleką od ilości, mogącej wywołać otrucie; następnie, że dawka przeznaczona dla dziecka jest małym ułamkiem ($^1/_{10}$, $^1/_{20}$, $^1/_{40}$ stosownie do wieku) dozy dla dorosłych; nakoniec, że właśnie narkotyki, na które organizm dzieci jest niezmiernie wrażliwy, daje im się w ilości tak minimalnej, że osoba starsza przeniosłaby ją zupełnie obojętnie. Rezultatem więc takiego *otrucia* może być w najgorszym razie trochę przydługa drzemka poobiednia.

Takich kilka kwiatków uszczknąć się dało bez żadnego zachodu i poszukiwań na niwie literackiej ostatniej doby. Względem dawniejszych błędów nie chcę dokonywać ekshumacyi. Wystarcza i tych, aby pokazać, z jak lekkiem sumieniem grzeszą, gdy chodzi o przyrodoznawstwo i medycynę, pisarze, którzy, zapewne okryliby się rumieńcem wstydu, gdyby w ich utworach dała się wykryć chociażby drobna omyłka geograficzna lub historyczna, gdyby np. suknia bohaterki miała krój nieodpowiadający modzie danego stulecia.

Wielu z nich nie zna zupełnie ducha przyrodoznawstwa, a szkoda, bo pogłębiłby niezawodnie ich prace i przeszkodził tylu brzydkim omyłkom. Ukazując z taką zachwycającą niewinnością swoją nieświadomość czytającej publiczności, sądzą może panowie literaci, że ona się na tem nie pozna. Ale tak nie jest. Przybywają wciąż nowe szeregi czytelników, posiadających pewien zasób wiedzy i nie ich winą jest, jeśli patrzeć nieraz muszą z pobłażaniem na tych, których chcieliby tylko podziwiać. Komu więc już nie czas do studyów, niech przynajmniej w każdym oddzielnym wypadku i potrzebie zasięgnie informacyj u osób kompetentnych. Nie każdy piszący, naturalnie, jest obowiązanym wiedzieć, jaką dawkę chloralu daje się dziecku, ale każdy powinien być sumiennym. Po cóż zresztą ośmieszać własne utwory, wywołując komiczne efekty, zamiast tragicznych?

Dr. Miecz. Kauf.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Gawalewicz, *Mgła.*

Jest to jedna ze słabszych powieści tego autora, nie dorównywa ani „Drugiemu pokoleniu,“ ani „Mechesom.“ Uwidocznił w niej p. G. skrawek życia, ale uchwycony w przelocie, niepogłębiony i nieodczuty wszechstronnie. „Mgła“ nie jest tylko widownią, gdzie odgrywa się dramat, wykrojony ze stosunków ludzkich, jest ona także kazalnicą, skąd rozbrzmiewają słowa nagany i potępienia dla niesympatycznych dla autora kierunków i ludzi. Publicystyczna strona osłabia i paczy artystyczną, opisywane stosunki osnuwa nadto gruba „mgła“ wycieczek polemicznych.

Postaciami osiowemi powieści są dwaj przyjaciele: Franciszek Gajski i doktór Krempel. Pierwszy jest specyalistą od pesymizmu, bezwoli i niewiary życiowej. Drugi jest człowiekiem zrównoważonym, o prawidłowo działających popędach, umysłu bystrego i samodzielnego, ale jednocześnie figurą bladą, niewypuklającą się plastycznie, jak zwykle bywa z bohaterami dodatnimi. Franek Gajski, lepiej uchwycony, to zdechlak fizyczny i moralny, suchotnik duchowy. Nic go nie obchodzi i nie porusza. Zdaje się, jak gdyby od świata i życia niczego nie potrzebował i nie spodziewał się. Nie rozumie on wcale życia, ma doń niechęć i urazę. Ulega jednak rozmaitym jego wymaganiom, ponieważ, jak twierdzi, „der Mensch ist ein Gewohnheitsthier.“ Skoro się raz przyszło na ten świat, powiada, choć nikt o to nie prosił, trzeba szukać najznośniejszych środków skracania sobie tej głupiej, bezcelowej wędrówki, jak mówi Grotwicz. Ten ostatni zaś jest dla Gajskiego mistrzem, ideałem niedoścignionym. Studyował rozmaite nauki, był na różnych fakultetach, wreszcie został filozofem. Miał po temu kilka doskonałych warunków: najpierw nazywał się Zeno, a to przecież imię niepospolite, nosiło je dwóch wielkich myślicieli, następnie posiadał fizyognomię, jakby od natury przeznaczoną do takiego zawodu. Autor odmalował go w barwach bardzo dosadnych, krzykliwych, z widoczną niechęcią i uprzedzeniem, wprost skarykaturował, zrobił zeń cynika w najgorszem tego słowa znaczeniu, pospolitego łotrzyka, jak o tem zaświadczą dalsze dzieje powieści. Krempel spogląda na niego z lekceważeniem i antypatyą, on odpłaca mu równoważnemi uczuciami, czuje, że doktorowi nie potrafi zaimponować. Każde zetknięcie się tych dwóch, tak odrębnych ludzi sprowadza utarczki i kłótnie. Dla Grotwicza kultem jest jego własne „ja.“ Świat i ludzie są tylko podnóżkiem jego osoby. Ze wzgardą patrzy na wszystko, nie poczuwa się do żadnych obowiązków, nie wierzy w żadne przyjemności wyższego rzędu. „Kobiety — powiada — tyle mnie obchodzą, co śliwki na straganie. Kupię i zjem, gdy przyjdzie apetyt, ale przypatrywać się im nie mam czasu.“ Cała jego filozofia streszcza się w takich poglądach. Filozofia taka bardzo przypadła do smaku Gajskiemu. Rozgrzeszała go z sobkostwa i martwoty duchowej. Przedstawia on uosobienie niemocy i bezradności. Życie dlań jest bezcelowem przeżuwaniem chwil. Zabezpieczenie majątkowe, ustawiczne próżniactwo pozbawiły go wszelkiej energii; zdemoralizowały umysłowo i moralnie. Żadnych zasad nie posiada, żadnemi spójniami nie jest związany ze światem, nie widzi żadnej siły, której musiałby ulegać, ma poczucie zupełnej bezkarności społecznej, zupełnej nieodpowiedzialności za swoje czyny i myśli. W takich warunkach mógł przylgnąć pesymizm, który był właściwie próżnią umysłową, brakiem wszelkiej filozofii. Tacy bankruci społeczni stają się zwykle wyznawcami pesymizmu. Bardzo podobało się Frankowi zapatrywanie Grotwicza na kobiety. Całkowicie godził się na to, że są to marne, chybione, słabe, niedoskonałe stworzenia; ot, ornament z lukru na torcie naszego życia. Od czasu bliższej znajomości z Grotwiczem nawet matkę nazywa „starą,“ nie przypadają mu do smaku nawoływania jej do pracy i obowiązków. Szczyt wyzwolenia się umysłowego, niezależności duchowej upatruje Gajski w tem, iż nie da się wziąć na sentyment. Wszędzie dostrzega fałsz i obłudę. Usamowolnienie się jego duchowe, pogardliwe traktowanie uczuć jest właściwie wyrazem strupieszałości duchowej, ubóstwa uczuciowego.

Rozumie się, obszerne miejsce w powieści zajmuje sprawa sercowa. Bohaterem jej jest Krempel i Genia Pawłocka, córka posiadacza warsztatu introligatorskiego. Matka jej niebezpiecznie chora na serce, stąd zawarcie bliższej znajomości z lekarzem. Znajomość ta stała się przyjaźnią, a u młodych przeszła w stan gorącej, bezwiednej jednak i zacisznie ukrytej miłości. Całą rodzinę Pawłockich przedstawił autor w barwach pogodnych i różowych. Panuje w niej skromny dobrobyt, zgoda przykładna i miłość, zespolenie się duchowe. Jest to idealny światek, ale całkiem odcięty od mrowiska ludzkiego, jego trosk i bólów, dążeń i celów. Gawalewicz z wielką sympatyą i rozrzewnieniem dobrotliwem kreśli sylwetki tego światka. To gniazdko filisterskie, ta kapliczka ustronna, gdzie cnotliwe duszyczki w skupieniu ducha krzątają się koło drobnych obowiązków i radości, występuje w jego wyobrażeniu opromieniona zorzą światła idealnego. Genia dopiero dwadzieścia lat skończyła, a już tyle zwaliło się na nią ciężarów, już ją życie wprzęgło w swe kolczate jarzmo, pod którem ugiąłby się niejeden mężczyzna. W gronie swego rodzeństwa

czuje się jakby siostrą i mateczką zarazem. Parę razy przybiegała do Krempla, wzywając go do łoża chorej matki. Tą drogą Franek miał sposobność ujrzenia jej i poznania. Podobała mu się dziewczyna, poczęły kiełkować zarodki miłości ku niej. Nie chciał przyznać się jednak przed sobą, odtrącał takie uczucie, teoretycznie ono dlań nie istniało. Przerywało i niepokoiło jego drzemkę duchową, nieco błogą, bardziej jeszcze apatyczną. Nie miał siły do kierowania swem życiem umysłowem, do przyswajania sobie rozległej sfery wyobrażeń i uczuć. Półtrupie refleksye, jak rój natrętny, wdzierały się w czaszkę. To tłomaczy, dlaczego znalazł się w dziwnem, zanadto, jak dla niego, podnieconem usposobieniu. Zazdrościł Kremplowi, poczuł wogóle pewne osamotnienie moralne, pewne osierocenie, sporo niesmaku. O tej swej sprawie sercowej nie miał z kim pogadać. Z Kremplem mu teraz rozmowa nie szła. Z Grotwiczem jeszcze trudniej, bo to sztuka sprytna, gotów przewąchać, że tam na samym spodzie tego niehumoru, zgorzknienia i rozdrażnienia leży kawałek „spódnicy,“ nawet duży kawałek, nawet może cała spódnica. Franek zaczął dosyć często odwiedzać Pawłockich. Nagle ostry napad choroby zaskoczył starą Pawłocką, Krempla na razie w domu nie było, przywołano więc innego doktora. Wieczorem zalękniona Genia przyszła do Krempla, iżby wydobyć zeń całą prawdę o stanie matki. Rozmowa śród łkań i żałośliwych dopytywań przeciągnęła się dosyć długo. Świadkiem tej sceny, chociaż dosyć dalekim, był Grotwicz, znajdujący się podówczas w pokoju Gajskiego. Cyniczna i gruba moralnie jego natura z wielkiem uradowaniem przyjęła ten fakt. Został głęboko przeświadczony, iż młody doktór jest pokątnym uwodzicielem. Ucieszył się wielce, że pochwycił ten rys w charakterze takiego rycerza bez skazy i plamy, który gotów bić się za honor każdej kobiety.

Wieść ta srodze dotknęła Gajskiego, odrazu uwierzył Grotwiczowi. Nie wiadomo dlaczego, uważa się jakby pokrzywdzonym; choć w gruncie rzeczy — rozumuje — co go to obchodzić może, że tych dwoje romansuje z sobą i miewa potajemne schadzki. Nienawidzi jednak Krempla od kilku dni, jakby mu co ukradł, albo zrabował, albo zepsuł. Nie umiał by mu tego powiedzieć, za co właściwie czuje do niego pretensyę, ale czuje. Pod wpływem takich myśli, gniewu, urazy i rozgoryczenia postanowił: prowadzić romans na własną rękę z Genią. Uzbrojony takim zamiarem podążył do Pawłockich. Całą scenę obcesowych zalotów i niefortunny ich rezultat autor odmalował żywo i barwnie. Dopiero rozmowa z doktorem wprowadziła go na tor prawdy. Z wykrzykiem: „ja jestem ordynaryjne bydlę,“ zerwał się i pobiegł do Geni, żeby uniewinnić się przed nią i wybłagać przebaczenie. Ta ostatnia, widząc jego szczerą, gorączkową nawet skruchę, chętnie pojednała się z nim. Nagłe podniecenie to, niespodziewany upływ energii całkiem wyczerpał Gajskiego. Świetnie skreślony został powrót jego do poprzedniego stanu. Twarz jego przybrała wnet wyraz jakiegoś znużenia, oczy gasną, usta się przeciągają, coraz więcej apatyi znać w fizyognomii całej; powoli krok za krokiem schodzić zaczyna po schodach i myśli: „Co mi się stało?.. wyrwałem się, jak spłoszona sójka. Co to było?.. nagadałem jej andronów, jak waryat. Musiałem być śmieszny. A!.. wszystko mi jedno. Niech sobie myśli, co chce. Życie jest głupie, świat jest głupi — głupstwo generalne. Nerwy i tylko nerwy!.. Ten Krempel zrobił mi suggestyę i kazał uwierzyć, że ona święta. A może i święta, ale co mi z tego.“ Monolog ten uprzytomnia nam dokładnie nastrój i poziom moralny licznych współplemieńców duchowych Gajskiego. Minimum życia! — oto jest szczyt praktycznej filozofii, do której Franka doprowadziły rozmyślania nad sobą i nad rozmaitemi kwestyami; wszystko inne to tylko niepotrzebny trud, dystrakcya, bezcelowe szamotanie się, przelewanie z pustego w próżne, praca Penelopy, przykrość zawodów i zużywanie sił. Bezgraniczna, szara apatya byłaby czemś najlepszem ze wszystkich stanów i usposobień człowieka. Trudno jednak w praktyce urzeczywistnić taki wysoki ideał, który miewają tylko zwyrodniałe, wykoszlawione natury.

Równolegle z dziejami Gajskiego toczyły się losy miłości Geni i Krempla. Kochanie ich, zrazu ukradkowe i całkiem bezwiedne, stopniowo coraz bardziej się rozrastało i stało się namiętnością cichą, pogodną i radosną. Był to wesoły szczebiot uczuciowy. Genia wyrosła w rodzinie, otrzymała śród niej wychowanie, chleb powszedni, przekonania, wierzenia i popędy uczuciowe. Wszystkie dodatnie strony rodziny skromnej, pracowitej, zatopionej całkowicie i wyłącznie w swych troskach i radościach w niej się skrystalizowały. Poza temi cnotami rodzinnemi w duszy jej panowała pustka. Cała była przepojona słodyczą i łagodnością. Należała do istot biernych, biernych we wszystkiem, w życiu prywatnem i osobistem, duchowem, w miłości i przywiązaniu. Kobiecość jej podnieca i uspakaja, nastraja sympatycznie duszę mężczyzny, lecz nie budzi licznych i różnorodnych strun w jego duszy. Do oświadczyn i wyznań przyszło jakoś niespodzianie, kiedy czuwali nad matką, niebezpiecznie chorą, Genia z jakąś dziecięcą prostotą i kobiecą powagą zarazem nalegała, iżby wszystko zaraz powiedzieć mamie i prosić ją o błogosławieństwo. Doktór wiedział, iż niespodziewana wiadomość może zabić chorą, odraczał więc tę sprawę. Wreszcie przystał na prośby narzeczonej; przeczucia go nie zawiodły, nieoczekiwana wieść błyskawicznie poraziła matkę.

Gajski niespodzianie otrzymał wiarogodne informacye o pewnej podłości, popełnionej niegdyś przez Grotwicza. Chcąc je dowodnie sprawdzić i wytworzyć sobie niezachwiane wyobrażenie o mistrzu i przyjacielu, otwarcie go zagadnął. Ten bezczelnie do wszystkiego się przyznał i nic nie zataił. Doszło do stanowczego zerwania. Podrażniony i rozgorączkowany Franek przeziębił się wówczas i niebezpiecznie zachorował. Biedny Krempel musiał równocześnie doglądać chorego przyjaciela i starą Pawłocką. Groźba, zawieszona nad życiem Franka, wkrótce jednak pierzchła, choroba atoli była przewlekła. Przyjaciele często wówczas z sobą rozmawiali, najczęściej o pesymizmie. Gawalewicz świetnie pochwycił typ nikłego duchowo pesymisty, będącego takim dla świata i ludzi, lecz tylko nie względem siebie samego. Ale zbyt troskliwie zaznacza wciąż autor jego trywialność, a nawet z pewnem zadowoleniem grzebie się we wszystkich jej rysach. Gajski był ustawicznie nędzarzem i samotnikiem moralnym. Życie duchowe jego było pospolite. Do jego świadomości bardzo mało dochodziło pojedynczych promyków światła uczuciowego. Choroba sprowadziła pewien przełom w jego usposobieniu: począł gorliwie zajmować się swoją osobą. Odnalazł cel w życiu, skupił wszystkie siły na trosce i staraniach koło pielęgnowania zdrowia.

Powieść wielce by zyskała na tem, gdyby autor przedmiot swój traktował jako artysta-myśliciel, a nie jako bojownik moralności i optymizmu filisterskiego.

Br. Ch.

TEATR.

M. Wołowski, *Chamska dusza.*

Nasi autorowie dramatyczni nie mogą skarżyć się na obecną dyrekcyę teatrów za utrudnianie wstępu ich utworom na scenę, która stoi otworem dla wszystkich i wszystkiego. Teraz trzeba tylko pisać dramaty i komedye, a z wystawieniem ich nie ma żadnego kłopotu. Skorzystał z tej grzeczności p. Michał Wołowski, który zrobiwszy rzecz słabą, ujrzał ją szybko i starannie odegraną. Autor ten ma dwie wady, jedną przyrodzoną, a drugą nabytą: nie jest artystą, a jest w pracach swoich niedbałym. Podziela on z najmłodszem pokoleniem pisarzów naszych to fatalne złudzenie, że twórczość nie potrzebuje pracy i że pośpiech może zrodzić coś wartościowego. Tymczasem pomijając bardzo nieliczne w historyi literatury wypadki nadzwyczajnej płodności i nadzwyczajnej szybkości w tworzeniu, faktem jest wielokrotnie dowiedzionym i sprawdzonym, że najwięksi geniusze zużywali na wykończenie swych dzieł dużo mozołu. Przerabiali, poprawiali, zmieniali — bez końca. Wielu dzisiejszych autorów wcale temu nie wierzy, puszczają oni pióra w ruch z prędkością maszynową i wyrabiają produkty, w których tu i owdzie błyśnie jakaś głębsza myśl, zarysuje się ładna scena lub wyskoczy zręczne wyrażenie, ale całość więcej daje do myślenia stylistyce i składni gramatycznej, niż estetyce.

Tak się stało z *Chamską duszą* p. Wołowskiego, która zdaje się kosztowała autora tyle czasu, ile go zużył na szybkie pisanie. Teatr ma ten dziwny przywilej, że przedstawiane w nim utwory nakładają na prasę obowiązek mówienia o nich. Temu przywilejowi *Chamska dusza* zawdzięcza chwilowy rozgłos i gdyby się ukazała w książce, zamiast na scenie, nie byłaby przedmiotem rozbioru i uwag krytycznych. My jednak, zgodnie ze zwyczajem naszego pisma, od nich się wstrzymamy. Czytelnikowi bowiem zapewne nie chodzi o dowiedzenie się, że jakiś Żarski zapisał, umierając, swój majątek wychowankowi Czaplicowi, odsunąwszy od spadku dzieci brata, którego córce zahipotekował pewną sumę, a synowi przeznaczył folwark w razie poprawy. Powstał stąd proces, powikłany miłością i luźnie związany z pobocznymi epizodami historyi kilkorga bohaterów. Ponieważ cała ta historya jest sama przez się, jak wszelka baśń, zupełnie obojętną, a uzyskałaby wartość tylko przez artystyczną oprawę, której w utworze p. Wołowskiego brak, zatem nie mamy potrzeby nad nią się zastanawiać. Mateo umarła córka, albo Jan ożenił się z Maryą — fakty te, zdarzające się codziennie, same w sobie są dla sztuki niczem, nawet gdybyśmy je opowiedzieli najdrobiazgowiej. Ale jeżeli talent włoży w nie swoją moc twórczą, mogą się zamienić na wspaniałe obrazy. W *Chamskiej duszy* jest tylko szereg faktów, związanych w opowieść. Co tu więc właściwie oceniać? Ich prawdopodobieństwo, zależność, łączność? Alež to nie jest protokół sądowy. A może tyrady bohaterów na temat dusz chamskich i szlachetnych? W naszym wieku już nas byle frazes ani nie czaruje, ani nie wzrusza. My jesteśmy już na takie rzeczy za starzy. Kto słyszał gromy burzy, tego grzechotka w zdumienie nie wprawi.

P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RUCH ETYCZNY W NIEMCZECH.

Berlin, 10 września.

Sto lat już mija od czasu, jak Herder po przeczytaniu autobiografii Franklina takim rozgorzał uczuciem dla planów szlachetnego amerykanina, że dziełkiem tym rozpoczął swe „Listy dla obrony i rozpowszechnienia idei ludzkości.“ Opowiada tutaj o zamiarze Franklina założenia w Filadelfii „Towarzystwa ludzkości“ i daje kwestyonaryusz, na który odpowiedzieć musi każdy z członków. „Powiedz szczerze — tak brzmieć miało wyznanie wiary — że ród ludzki milujesz prawdziwie bez względu na różnice w zewnętrznym układzie rysów twarzy, rodzaj zajęcia albo wyznawaną religię. Czy sądzisz, że człowiek powinien cierpieć dla czyichkolwiek przekonań metafizycznych albo obrządków kościelnych na ciele, imieniu, majątku? Czy kochasz prawdę dla niej samej, czy chcesz jej szukać bez stronniczych założeń i czy chciałbyś, gdy ją znajdziesz, i z innymi podzielić swą zdobycz?..“ Tak pytał filozof, ale echa nawet nie otrzymał: nie miała czasu historya na sprawy tak dalekie, tak łzawe, tak platoniczne. Cóż bowiem i komu było mówić o ludzkości, o ideale wszechmiłości na obłoku wiszącym, kiedy los dziejowy z wulkaniczną siłą stwarzał zadania i cele bliższe, już tem samem serdeczniejsze i bardziej upragnione, niżli zamorskie mrzonki ideologów! Tutaj trzeba było wypędzić francuzów za dziesiątą granicę germańskiej ojczyzny, a później (tak silnem i niezwalczonem jest prawo fizyczne bezwładności...) zdeptać potęgę wroga w jego domu. Trzeba było pierścieniem żelaznym i pruskim związać poszczególne indywidualności państwowe i narodowe, gęsto rozsiane między Renem i Wisłą, Dunajem i morzem Północnem i wszystkie te partykularne nadzieje, marzenia i ukochania skuć w jedną (taką jest ironia dziejowa!) bezkształtną masę kamiennej „Germanii,“ groźnie patrzącej na ludzkość całą z wyżyn Szwarcwaldu. „Krwią i żelazem,“ chciałaby powiedzieć, gdyby mówić mogła ta zimna bryła narodowego egoizmu, to hasło pieściły serca i dusze najlepszych z mych synów za mną, gdym w niebiańskim majestacie swym istniała jeno w myśli poety! Za mną — a przede mną?..

Może i to pytanie dręczyło tych, którzy przed rokiem krzątać się poczęli na bruku berlińskim około założenia „Towarzystwa kultury etycznej.“ Może i zapewne przed oczyma znakomitych uczonych, którzy je do życia powołali stawały groźne wymagania dumy narodowej, pruskiej zarozumiałości, pytania, kryjące w sobie i wyrzuty — za przeszłość i gorące pragnienie poprawy — w przyszłości. Jakkolwiekbądź — wróciły marzenia starego Herdera — i, co więcej, ziszczać się poczęły. Już od roku gromadzi znakomity astronom tutejszy prof. Foerster i szlachetny prof. Giżycki wraz z piękną już grupą etystów niemieckich (Jodl, Ziegler, Tönnies) coraz liczniejszą rzeszę wyznawców ideału „moralnego,“ oświeca ich słowem i piórem, zachęca do pracy i czynu, pociesza w walce o ideał, zwiastuje jego zwycięstwo w przyszłości. Nie możemy zatrzymywać się tutaj dłużej na literaturze, którą ruch etyczny już wywołał, ani podawać treści i broszur, które „Towarzystwo“ wydało i artykułów, które zawiera redagowany przez Giżyckiego popularny tygodnik „Kultura etyczna,“ ale możemy i chcemy opowiedzieć czytelnikowi krótkie zresztą dzieje „Zjazdu,“ jaki odbył się niedawno w Eisenach, zjazdu cichego, spokojnego, niezakłóconego orgią zwycięską jednych partyj nad drugiemi.

Mówił Foerster, mówili i inni, ale ponieważ nie zajmują nas tutaj domowe ich sprawy, lecz te tylko, które się dają powiązać wspólną nicią pracy z cywilizacyą europejską, więc z mowy Foerstera tylko wybieramy co najważniejsze. Towarzystwo etyczne niemieckie dąży do popularyzowania swych dążeń i przekonań nietylko w Niemczech, ale chciałoby, ażeby promienie jego słońca spływały i na inne ludy i narody, na świat cały. Chodzi o to, ażeby w sercach ludzkich obudzić na nowo uśpione od lat już tylu uczucie współnależności do jednej rodziny ludzkiej. Przyzwyczailiśmy się, mówił Foerster, sądzić wszystko, kochać i nienawidzieć z niskiego stanowiska poglądów narodowych. O ile znakomite rezultaty nauk przyrodniczych i techniki zbliżyły do siebie rozrzucone w przestrzeni grupy ludzkie, o tyle znowu przesada nacyonalizmu odrzuca nas od siebie, przecina wszystkie węzły naturalne i ku biegunom jednej wspólnej osi życiowej odpycha. Każda narodowość — Foerster ma tutaj rzeczywiście na myśli stosunki francusko-niemieckie — śpiewa tylko o sobie, o swej chwale, o swojej wielkości. Taka gorączka narodowościowa stwarza nienawiść zamiast wzajemnego poszanowania i zaufania, wytwarza bezsumienność na miejsce uczciwości. Cóż mówić o rozbrojeniu, kiedy serce ludzkie uzbrojone jest w najtwardsze pancerze dumy i nienawiści? Ale i inne jeszcze strony tej kwestyi poruszył astronom berliński. Często daje się słyszeć zdanie, że egoizm jest jedyną sprężyną życia ludzkiego. Otóż temu twierdzeniu należy zaprzeczyć. Przeciwnie we wszystkich narodach tkwi i myśl i uczucie ogólno ludzkie. Należy właśnie na polu międzynarodowych stosunków rozpocząć działalność pojednawczą. Gdyby prócz tych ogólników, charakterystycznych być może dla obrazu jednostki, ale nie dla życia, mowa Foerstera nie zawierała nic więcej, to może i nie wspomnielibyśmy o niej. Ale i w niej tkwiły zarodki czynu. Z dwoma pięknymi projektami wystąpił Foerster, zakreślającymi dalekie widnokręgi dla pracy ogólno ludzkiej. Jeden — to plan „Związku etycznego,“ drugi — to Akademia kultury etycznej.“ Oba projekty powstały z ogólnego założenia, że jest możliwa wszystkim narodom bez różnicy wyznawanych przekonań religijnych i sprawowanych obrządków kościelnych—wspólna etyka. „Związek etyczny“ ma więc na celu połączyć w jedną organiczną całość rozrzucone organizacye etyczne w odrębnych krajach; nie przeszkadzając indywidualnemu rozwojowi w poszczególnych gminach etycznych, zamierza ujednostajnić cele i drogi w osiąganiu najważniejszych punktów; na gruncie ekonomicznych stosunków przyjmuje udział w pracy, mającej na celu umoralnienie dotychczasowego cynizmu produkcyi, broni ogólno-ludzkiego pokoju i na polu badań naukowych chciałby stworzyć ogólno-ludzką, zgodną pracę. Tym właśnie ostatnim badaniom służyć ma specyalnie „Akademia dla krzewienia kultury etycznej,“ która wolna od wszelkiego wpływu politycznych i religijnych przekonań i dążności ma być przybytkiem najczystszej wiedzy o człowieku i uspołecznieniu ludzkiem; ma być zarazem miejscem, gdzie już osiągnięte rezultaty badań takich obwieszczane będą żądnym wiedzy uczniom i adeptom, i gdzie wskazywane będą drogi dla wprowadzenia tych zasad do życia, do stosunków międzyklasowych i międzynarodowych. Pod ogólnym tytułem „Akademii“ założony będzie wyższy zakład naukowy, pozostający pod zarządem badaczy i nauczycieli, zorganizowane zostaną seminarya i ufundowany cały szereg instytucyj szkolnych od najdrobniejszych szkółek elementarnych, aż do najwyższych na drabinie pedagogicznej urządzeń szkół wyższych. Wyższy zakład naukowy — rodzaj specyalnego uniwersytetu etycznego — obejmować będzie katedry przedmiotów, związanych z nauką o człowieku i społeczeństwie, a więc: etykę i pedagogikę, estetykę, socyologię i naukę gospodarstwa społecznego, dzieje kultury. Ciało nauczycielskie składać się ma ze stałych profesorów, uosabiających ostatnie słowo nauki, pochodzących z różnych krajów ucywilizowanych, którzy wykładać będą bądź to w języku ojczystym, bądź też w języku kraju, w którym „Akademia“ czasowo istnieć będzie. „Akademia“ korzystać będzie także z występów gościnnych różnych uczonych i sama wysyłać ma prelegentów do miejscowości i w czasie, kiedy po temu znajdzie sposobność i potrzeba. „Seminarya“ mają na celu pedagogiczne wykształcenie nauczycieli etyki, wychowawców i wychowawczyń, mówców itd. Wreszcie w szkołach całkowita nauka ma być oparta na podstawach etycznych, które nie będą jak dotąd dodatkiem w zupełności zależne od dobrej woli nauczyciela i jego osobistych sympatyj naukowych, lecz staną się przeciwnie warunkiem, bez którego wykład obejść się nie będzie mógł. Rozumie się, że nauka we wszystkich zakładach tych będzie darma.

Takim w głównych zarysach jest plan, jakim obdarzył słuchaczów swoich prof. Foerster pierwszego zaraz z siedmiu dni „kongresu“ w Eisenach. W formie suchej, szematycznej, w jakiej rzuconym został, nie może wywołać ani krytyki, ani polemiki. „Etykiety“ przedmiotów nic nie mówią — nie mówią przedewszystkiem, jaka to będzie nauka, jacy uczeni. Zresztą zbyt wczesne pytanie to, kiedy i sam projekt dla braku środków, bezsprzecznie wielkich, pozostawać musi w sferze projektów wyśnionych, oczekiwanych, upragnionych, ale niewychodzących po za granicę cieniów. Wiele słów, wiele długich mów i odczytów wygłoszono przez owe dni ośm wspólnie spędzonych, wiele bardzo pustych frazesów i różnokolorowych baloników programowych pomknęło w siną dal przestworza, ażeby nigdy więcej nie wrócić na padół ziemski w powłoce rzeczywistości.

Ażeby już nie wychodzić dzisiaj za granice moralności społecznej, dodam ciekawy epizod z życia dzisiejszego. Prof. Haeckelowi wytoczył były jego uczeń, dr. O. Hamann, proces o obrazę czci. Rzecz się tak miała. Hamann od lat trzynastu znajdował się w najbliższych stosunkach ze znakomitym darwinistą niemieckim, był jego uczniem i asystentem przy katedrze jenajskiej — uczniem i wyznawcą darwinistycznych teoryj, których bronił i piórem i słowem; w Getyndze bowiem przez lat kilka zajmował katedrę prywat-docenta. Kiedy przed trzema laty zawakowała posada profesora „fylogenii“ — katedra specyalnie istniejąca w Jenie dla nauki „historycznego przekształcania i powstawania organizmów na podstawie paleontologii, anatomii porównawczej i ontogenii“ — i Hamann znalazł się w poczcie konkurentów, ale pomimo gorących próśb docenta i chęci Haeckela nie mógł jej otrzymać. Wtedy to młody uczony zawiesił swoje ideały naukowe na najwyższym gwoździu swoich pragnień — a przy pomocy i opiece wysoko postawionych osób popłynął z „nowym kursem.“ Kiedy w roku zeszłym rozegrany został wspaniały dramat narodowy na temat „szkół wyznaniowych,“ Hamann był w liczbie tych, którzy w prasie i na ulicy grali głośno na bębnie pobudkę Zedlitza. Wiadomo, jak nauka niemiecka i Haeckel przyjęli projekt ministra pruskiego, Hamann, który za pracę swoją otrzymał tytuł profesora i dobrze płatną posadę w bibliotece królewskiej — uważał, że należy usprawiedliwić swe sta-

nowisko „ewolucyjne“ — i napisał książkę, w której powtórzył raz jeszcze wszystkie dowody, jakie nagromadził w lamusie nauki obskurantyzm od czasów Giordana Bruna i Galileusza. „Fylogenia“ określona została jako wytwór fantazyi, Haeckel zmieszany z najbrudniejszem błotem oszczerstw ulicznych, przedstawiony nietylko jako heretyk, ale jako kłamca itd. Haeckel, który oczywiście pozostawić nie mógł tych napaści bez odpowiedzi, w ostatniej swej pracy („Der Monismus, Ein Glaubesbekenntniss,“ 1893) opowiedział szczegółowo całą „historyę“ dr. Hamanna i zauważył, że znając poprzednie prace jego, nie może przypuścić, ażeby możliwym był u niego zwrot ku przeciwnemu biegunowi badań biogenetycznych, a natomiast możliwą jest alternatywa, że albo dr. Hamannem powodowała chęć osobistej zemsty względem Haeckla, którą usuwa — bo nie posiada dostatecznych powodów dla jej ugruntowania — a przyjmuje przeciwnie, że jedyną prawdziwą sprężyną była karyera, którą też udało się „zrobić“ zręcznemu „ewolucyoniście“ niemieckiemu. Otóż po tem otwartem wyzwaniu p. Hamann wytoczył swemu dawnemu mistrzowi proces sądowy o obrazę czci, w którym — i to jest najciekawsze dla charakterystyki skarżącego — oprócz kary więzienia i 1,500 marek za oszczerstwo żąda dla siebie, jako równoważnik poniesionej straty, sumy sześciu tysięcy marek odszkodowania! Jakikolwiek będzie wyrok sądu, czy prof. Haeckel wyjdzie ze sprawy obronną ręką, czy też będzie musiał złożyć haracz honorowemu uczniowi swemu, to pewna, że opinię publiczną ma już za sobą. Ale rozpatrując ten fakt w oderwaniu od chwili, że stanowiska „ideału“ albo, jak chce Spinoza, „pod kątem wieczności“ — otwiera on nam oczy na niejedną ciemną stronę życia naukowego. I to właśnie jest tak bolesnem, tak wstrętnem, tak beznadziejnie smutnem.

Żen. Por.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XII.

18 lipca, Chicago.

Odpowiednią etykę wyżłobiły nieubłagane zapasy konkurencyjne. Ktoś świeżo spowiadał się przede mną z wrażeń, jakie odniósł, bawiąc śród grona czysto amerykańskiej inteligencyi— medyków. Zapoznał się z pewną obelgą, nieznaną nam, dzieciom starej części świata. W Ameryce powiedzieć o kimś, że jest niepraktyczny — *unpractical* — jest to zniesławić go i wyrządzić mu jaknajwiększą krzywdę. W oczach amerykanina jedynie „człowiek praktyczny“ jest godzien szacunku. A nie chodzi tu jedynie o rozmiary majątku. Nie ten jest „dzielnym“ człowiekiem, kto wart tyle a tyle dolarów — chyba że je zdobył własną zapobiegliwością, ale czyj charakter ręczy za to, że zbije spore grosze i z niczego dojdzie do majątku. Stany Zjednoczone zaś są jeszcze krajem, gdzie każdy, posiadający zmysł „praktyczności,“ może dobić się sporej fortuny. Etyka to nieczystej plutokracyi, która już wypoczywa na wawrzynach i w bezczynnem pasorzytnictwie zwyrodniała co do swojej dzielności antropologicznej, ale rzutkich i przedsiębierczych robigroszów!

Na czem polega praktyczność? Nie będę zapuszczał się w jej analizę, bo naprzód musiałbym napisać wtedy cały traktat o strategice geszeftciarstwa, a nadto lepiej znać, niż znam dzisiaj, życie amerykańskie. Natomiast dam czytelnikowi jeden obrazek z wielu, posiadający tę wadę, że może jest za mało jaskrawym, w którym jednak bohaterka ćwiczy swoje zdolności nie po to, ażeby zdobyć majątek —jest bowiem i bez tego warta sporo dolarów, lecz ponieważ jej praktyczność wymaga ruchu, jak skrzydła ptaka. Bohaterką tą jest pani French-Sheldon, osóbka, bezwarunkowo zasługująca na uwagę, a nawet podziw. Kiedym po raz pierwszy ją poznał, ani domyślałem się, że przedstawiony zostałem takiej znakomitości. Sążniście długi ogon u sukni raczej kazał mi mniemać, że mam przed sobą jakąś wielkość salonową, aniżeli jedną z najśmielszych podróżniczek. Ta kobieta ośmieliła się, na czele stu kilkudziesięciu murzynów, bez towarzystwa białego mężczyzny, zapuścić się w nieznane zakątki wschodniej Afryki i utrzymała swój oddział w posłuszeństwie — tam, gdzie niejeden podróżnik miał do czynienia z nieustającym rokoszem. Teraz p. French-Sheldon spienięża swoje wrażenia — nie! mylę się, kształci swoją „praktyczność“ może bez myśli o finansowych sprawach tak samo, jak śpiewak leśny wydobywa tony ze swego gardła bez celu zyskania względów jakiej samiczki, chociaż ród jego zdobył umiejętność śpiewacką tylko po to. W jednej z sal Pałacu kobiet, zajęła ona pół przestrzeni na wystawę przywiezionych przez siebie przedmiotów, a zanim wejdziemy do tego sanktuaryum, we drzwiach ujrzymy ogłoszenie, że palenkin, w którym podróżowała nasza amerykanka, jako świętość umieszczony jest w dziale środków przewozowych. W salach wiszą reklamy. „P. French-Sheldon (czytamy w jednej) osobiście zorganizowała swoją karawanę, kierowała nią i przewodniczyła bez towarzystwa białego mężczyzny lub kobiety, odwiedziła przeszło dwadzieścia sultanatów lub plemion, z których do wielu nie dotarła jeszcze noga białego człowieka. Postawiła ona sobie za zadanie zbadać kobiety i dzieci, życie domowe, zwyczaje i normy postępowania plemion afrykańskich... Taktyka, której p. French-Sheldon się trzymała, pozwoliła jej zgromadzić jedyne w swoim rodzaju a najdoskonalsze zbiory.“ Odezwa, z której to wypisaliśmy, wisi w licznych egzemplarzach, a nadto, w setkach okazów znajdujemy reklamy, przeznaczone do wzięcia. Książka leży przybita na pulpicie.

O rozmiarach takiej reklamy nie mamy w Europie pojęcia, o ile rzecz dotyczy podobnej kwestyi; chyba należałoby się zwrócić do handlu bławatnego. A p. French-Sheldon działa jeszcze za pomocą odczytów na rożnych zjazdach i nie-zjazdach. Byłem na jednym. Przyrząd stereoptyczny rzucał obrazy na płótno, a podróżniczka opowiadała o swoich przygodach. Pokazała nam na mapie drogę, po której szła, później wydobyła fuzyę, którą miała z sobą, chorągiewkę, którą niosła, na płótnie przedstawiła samą siebie i drobiazgowo opowiedziała, z jakiego materyału była zrobiona suknia, czem wysadzana oprawa jej szabli, zapomniała tylko dodać, jakiej długości był ogon, który wlokła za suknią. A w całym tym opisie ani śladu pawicy, powieść toczyła się gładko, dobrodusznie.

Kiedy w dni kilka później pewnemu amerykaninowi wyraziłem z tego powodu swój podziw, patrzył na mnie, jak na raroga. Raczej widział w całem postępowaniu jedną zaletę więcej! Turystka okazała się osobą praktyczną, zdolną w razie potrzeby do zrobienia majątku...

20 lipca, Chicago.

Kongres osad społecznych! Pod wpływem prądów krańcowych, mianowicie jako tama przeciwko nim, zmartwychwstała idea Carlylelowska „klasztorów społecznych.“ Kiedy prądy te usiłują przeciwstawić jedne klasy przeciwko innym, apostołowie osad probują zbudować pomost zgody i w uścisku zgładzić świadomość krzywdy. Zamożne osoby, zwykle ludzie najlepszej woli, osiedlają się w ubogich dzielnicach, zakładają tam kluby oświaty i zabawy, szerzą smak artystyczny, ideę kooperacyjną. Właśnie zjazd takich działaczów obraduje teraz przede mną.

Ale nie treść obrad przykuwa do siebie moją uwagę. Spostrzegam tutaj inne rysy, w najwyższym stopniu charakterystyczne dla stosunków amerykańskich. A spotykam je niejednokrotnie. Na wszystkich zjazdach, którym się przypatrywałem, płeć nadobna prawie sama jedna wypełnia sale. W Ameryce, podobnie jak wśród naszego obywatelstwa ziemskiego, kobiety są bezwarunkowo bardziej wykształcone humanitarnie, aniżeli ich ojcowie i małżonkowie. Nastąpił podział pracy. Mężczyzna zajmuje się *businessem* i w jego zgiełku wyrodnieje moralnie, kobieta przywłaszczyła sobie naukę i sztukę, filantropię społeczną i rojenia humanitarne.

I na obecnym zjeździe mężczyźni może nie stanowią dziesiątej części ogółu, milczą i słuchają wywodów płci pięknej, która jedynie przemawia z katedry. Różnica tego zjazdu od innych polega na tem, że twarze kobiet wyglądają inaczej, strój jest skromnym, zamiast motylkowatości — powaga. W Europie, kiedy po raz pierwszy spotykam jakąś niewiastę, która zbyt żywo interesuje się podobnemi sprawami, w większości wypadków poszukuję mimowoli podkładu histerycznego. To samo pytanie zadaję sobie też względem amerykanek, które obradują przede mną i rozglądam się po sali. Półsiwa staruszka, mająca lat 60 z górą, pełna zdrowia i inteligencyi, ze spokojem na twarzy, pożera każde słowo, padające z trybuny. Nie, to nie historya przemawia z jej oblicza, ale dzielna natura altruistyczna, zahartowana w wieloletnim potoku doświadczenia życiowego... Przy mnie siedzi jakaś 40-letnia matka z małą córeczką. Ani na jednej, ani na drugiej nie widać najmniejszych śladów pogoni za wyróżnieniem. Dziecko jest ubrane skromnie, matka przyprowadziła je nie po to, ażeby popisać się tą żyjącą laleczką, ale ponieważ chciała być świadkiem rozpraw i nie wiedziała, co robić z dzieciną. Twarz jej wyraża uwagę, ręka od czasu do czasu głaszcze po głowie dziewczynkę, ażeby wynagrodzić jej nudy, wówczas gdy oczy patrzą na prelegentkę. Gromadka — chciałem powiedzieć radykalnych panien na wydaniu, ale czuję całą niesłuszność i nawet krzywdę takiego wyrażenia o zebranej publice — rozsiadła się jednym rzędem. Ubiór czysty, lecz skromny aż do niedbałości, twarzyczki inteligentne. Usta uśmiechają się, szyderstwo je okala, to znowu wyraz powagi zawitał. Wszystko świadczy o tem, że przyszły nie po to, ażeby ludziom się przypatrzeć i siebie pokazać lub jakoś zabić czas, z którym nie wiedzą, co począć, rade wszelkiej sprawie, która da im wymówkę przebierania nogami po bruku. O czem toczy się mowa na zjeździe, obchodzi je istotnie; to cząstka ich życia!

Głównie kobiety zabierają głos w obradach, Słowa proste, bez fajerwerków frazeologii i efektów teatralnych, śmiałe, drgające uczuciem. Mężczyźni przemawiają niekiedy, ale w większości wypadków muszę się nieco wstydzić za swoich współbraci. Biorą oni jakiś drobny szczegół z przemowy kobiet i kpią na tej podstawie z wypowiedzianych w odezwie porywów serca. Nie prostują błędnych ścieżek, ale pragnęliby wykorzenić z duszy kobiety uczucia humanitarne. Jako obywatel kraju, zdaje mi się, amerykanka więcej warta, aniżeli jej towarzysz.

28 lipca, wystawa, w Budynku owocowym.

Siedzę wśród szczególnego widoku. Najbardziej krzyczące barwy splotły się z sobą, a jednak w tym chaosie czerwieni, jaskrawej żółtości, purpury, błękitu nie ma dysonansu. Może dlatego, że jestem wobec tworów przyrody a nie ręki ludzkiej. W głębi sterczy pomnik, ułożony z cytryn

i pomarańcz Kalifornii, z drugiego końca ciągną się stoły, zastawione podobnem nakryciem. Ściany są oblepione schodami jabłek, grusz i innych owoców, a w szafach widnieje najrozmaitsza mozajka słojów. Bezład i gra jaskrawych barw, a jednak oko z zadowoleniem biega po tych górach, stosach, posągach. A do wrażeń oka dołączają swoją przyjemność inne zmysły. Cała gama zapachów przesuwa się przede mną, kiedy powiew wiatru przepłynie przestworza Halli owocowej i działa niby narkotyk.

Może pod wpływem tych wrażeń, obraz, wiszący na ścianie, przestaje być pasmem barw, rozpostartych na płótnie i przekształcił się na cząstkę żywej przyrody, której przypatruję się niby z lotu ptaka. Powierzchnia gruntów wygląda jak zakrzepła fala rozgrzanego morza, wszędzie unoszą się pasma wzgórzy. Gaje, ułożone w regularne czworoboki i porznięte przez prawidłowe, porządnie utrzymane drożyny, szumią regularnymi rzędami drzew, tuląc w swem zielonem łonie drobne, kształtne, białe domki leśników. Ale bory te nie są zwykłemi lasami, to plantacye drzew owocowych! Obraz przedstawia nam jeden z nowoczesnych folwarków-sadów, *Olden fruit farm*, który rozpostarł się na przestrzeni blisko 3000 akrów w stanie Missouri. Chatki, wyglądające z poza gąszczów, są domkami ogrodników, którym właściciel powierzył pojedyncze działy tego szczególnego folwarku. Środkiem lasów owocowych biegnie gościniec pocztowy, a stacya ulokowała się naprzeciwko gmachu, w którym skrzętne ręce ludzkie nadają owocom postać handlową.

Przebudzona wyobraźnia unosi się dalej, po za widnokręgi, nakreślone przez obraz. Wszak cały stan Missouri usiany takimi gajami! Rolnik nie jest zwykłym wieśniakiem, powierzającym macierzy-ziemi jedynie ziarna zbóż, ale nadto ogrodnikiem. Jego sprzęty powiększyły się w liczbie swojej o mnóstwo nieznanych nam pieców do suszenia płodów, koszyków do układania owoców. Do gajów owocowych zastosował prawo płodozmianu, a u postępowych gospodarzy zjawia się specyalny inwentarz, mający dostarczać odpowiedniej mierzwy.

A nietylko Missouri, lecz też New York, New Jersey i in. wschodnie stany zamieniają część pól swoich na gaje owocowe. W pobliżu Tonnawandy, Clevelandu oglądaliśmy już z okien wagonu te wysiłki, a fotografie, rozwieszone w Halli owocowej, jeszcze bliżej zapoznają nas z tą nową fazą rolnictwa amerykańskiego. Czyżby wujaszek Sam chciał wydrwić te mądre, trzeźwe mózgownice, które szydziły z bredni Fouriera, przepowiadającego, że kiedyś ziemia będzie pokryta lasami owocowymi, a całe okolice będą rywalizowały z innemi w uprawie tylko specyalnej odmiany grusz lub jabłoni? Olbrzymi gaj jabłoni Ben Davis na fermie oldenskiej wyraźnie świadczy, że nie należy trzeźwości kreta brać za jedno z mądrością.

L. K.

O MORSKIE OKO *).

Zakopane, 5 września.

Tatry lubią sprawiać niespodzianki. Zdarza się nieraz, że śród najpiękniejszej pogody, ukazującej śnieżne szczyty i modre jeziora, dalekie pola, lasy i strumienie, nagle, niespodzianie spada mgła i wszystko odrazu zakrywa. Bywa też i odwrotnie: ktoś jak gdyby z nienacka podniósł kurtynę i pokazał zdumionym oczom pyszne promienne widoki, przed chwilą zasnute nieprzebitym kwefem chmur. Ale z pewnością żaden efekt sceniczny nie może iść w porównanie z tym, jaki zgotował los w kotlinie Morskiego Oka. Powiadam los, bo tu natura nic do powiedzenia nie miała.

Jeszcze dwa lata temu tuż obok schroniska Staszycowego, jeno bliżej stoków Żabich i Rysów bielał ładny drewniany domek węgrów. Zazdrość brała na jego widok, był bowiem i położony ładniej, na wzgórku śród świerków i limb i zapowiadał zdala więcej schludności i wygód, niż budynek postawiony przez Towarzystwo Tatrzańskie. Trochę też „działało to na nerwy“, albowiem tuż obok przybito do wysokiej żerdzi tabliczkę z napisem węgierskim, wprawdzie niezrozumiałym, ale nader wymownie objaśnianym przez ogromnego brytana, który szczerzył zęby na każdego, pragnącego zbliżyć się do owej willi. Wtedy każdy pojmował, że napis opiewa zakaz wstępu na stronę wrzekomo węgierską, a pies jest przedstawicielem księcia Hohenlohego.

Dzisiaj — niema ani psa, ani ostrzeżenia, ani żandarmów, ani baby sekutnicy, która tam rządziła imieniem możnego prusaka, ani — co najważniejsza — samego budynku. Daremnie wzrok szuka śladów, ni dymu, ni popiołu, a dopiero w miejscu, gdzie Biała woda wypływa z Morskiego Oka, widać parę znaczących belek i desek. Co się więc tutaj stało? Dzienniki owego czasu opiewały jednogłośnie, że białczanie spalili schronisko, ale zagadnij którego z nich a w nos ci się roześmieje, wskaże na niebo palcem i przysięże na wszystkie świętości, że to sam Pan Bóg, nie chcąc krzywdy biednych górali, zesłał karzący ogień na madziarów i spalił ich siedzibę.

Ta ich ufność w pomoc Opatrzności jest w obecnym wypadku charakterystyczną. Mówią o niej tak szczerze i z takiem przejęciem, że w rzeczy samej traci się wiarę w ich jakikolwiek udział.

Głos ogółu jednak opiewa co innego. Węgrzy nie zawahali się ani na chwilę z oskarżeniem i radzi są, że mogą swych wrogów przedstawić jako niewątpliwych podpalaczów, bo to im daje pole do samowoli. Jeśli gdzie, to na tym cudownie dzikim skrawku ziemi, potomkowie hunnów potrafili cofnąć się do pierwotnych swych popędów. Schwytać bezbronnego pastuszka na gruncie spornym, stłuc go na miazgę, głowę rozbić o granit, a potem ofiarę zawlec w kajdanach do więzienia, uchodzi u nich za zwykły dowód odwagi i rycerstwa. Ostatnio uczynili tak z leśnym dóbr Zakopiańskich Dziadomem, który jednak, jakem się dowiedział u samego Morskiego Oka, zdołał zbiedz. Te i tym podobne zdarzenia są wprost zabawne i dla swej odrębności stają się ciekawemi dla całego świata. Kto tu rządzi, kto wymierza sprawiedliwość? Żandarmi węgierscy, a więc przecież austryaccy dopuszczają się nadużyć względem poddanych tego samego państwa i to im nie tylko uchodzi na sucho, ale poczytywanem bywa za bohaterstwo. Sędzia galicyjski, schodząc na grunt, zostaje zelżony i obezwładniony itp.

Zagadka jednak nie jest tak trudna do rozwiązania, jakby się zdawało na pozór; godło naszego wieku: pieniądz — daje nam wyborny do niej klucz. Ks. Hohenlohe jest wielkim panem, o tyle bogatym, o ile sprytnym, a węgrzy mamonę lubią. Znalazła ona sobie drogę do serc węgierskich i rozpłomieniła ich ni stąd, ni zowąd, wielką nienawiścią dla polaków. Dotąd znęcali się nad słowakami, dlaczegóżby miała być szczęśliwszą Galicya, którą do niedawna kokietowali jeszcze, że wspomnimy wystawę w Peszcie. Złoto książęce ma taki blask i urok, że magnetyzuje nawet przeciwnika, bo oto żandarmerya i urzędnicy galicyjscy zachowują się tak, jak gdyby chcieli prześcignąć madziarów w usłużności dla Hohenlohego. O kwadrans od Morskiego Oka, idąc ku Rostoce, zbudowali oni sobie posterunek z widokiem na dolinę Białej wody, w tym celu, ażeby nie dopuszczać wybryków ludności okolicznej przeciw węgrom i wyraźnie tolerować gwałty, popełniane przez węgrów. Sądzicie, że to przesada — nie! to fakt.

Samo się rozumie, że bez natchnienia z góry, rzeczy podobne dziać się nie mogą. A dowodem tego jest inny znowu dziwoląg, że samo namiestnictwo Galicyi i Głodomoryi poleciło „organom bezpieczeństwa“ baczyć, żeby polacy nie wkraczali przypadkiem w obręb praw ks. Hohenlohe. Pisma nieśmiało okólnik ten podają, rumieniąc się za własnych przedstawicieli. Tym sposobem prawdopodobieństwo wygranej w tym dziwnym sporze jest dla Galicyi prawie żadne. Opinia ludzi się, że sądy po zbadaniu sprawy odsuną delikatnie prawicę pruską, zbrojną w karabin austryacki, ile że mnóstwo piśmiennych dowodów, nadań i naukowych, jako też rządowych map najwyraźniej w świecie całą kotlinę Morskiego Oka aż po grzebienie Mieguszowieckie, Rysy i Żabie za własność Galicyi podają, a nie prawą tylko połowę Morskiego Oka bez stoków. Ale co tu znaczą sądy wobec strzelca książęcego, który z garścią opryszków, ukryty za skałą, mierzy do górala, albo nawet turysty spokojnego, jak to się stało dwa tygodnie temu z pewnym niemcem? W tych niedostępnych przepaściach, zdala od świata, rozstrzyga o wszystkiem fakt dokonany i choćby nawet sądziowie uczuli nagle cudowny wstręt do kieszeni Hohenlohego, choćby nawet wydobyto z umyślnego ukrycia skrypta i pieczęcie królewskie i cało terytoryum *questionis* przysądzone zostało Galicyi — jeszczeby węgrzy trzymali w przestrachu każdego przybysza i *jure caduco* wstępu na nieswoje posiadłości bronili, bo się czują mocnymi.

Te okoliczności inteligencya lwowska rozumie i swoim żalom dała upust na zgromadzeniu, które się w ubiegłym tygodniu odbyło. Tam też wyrażono naganę dla Koła polskiego w sejmie wiedeńskim, że się tą sprawą mimo niezaprzeczony swój wpływ nie zajęło. Pan Lewicki przemawiał gorąco i ładnie, jakiemuś Flipowi z Konopi, który usiłował zbagatelizować sprawę o Morskie Oko i sprowadzić do znaczenia sporu „Herzoga“ z „Grafem“ (Zamojskim), wysykano — ale czy całe to oburzenie nie odegra czasem smutnej roli palca w bucie, wobec wyniosłości i obojętności sfer prawdziwie wpływowych? Taka przepowiednia ciśnie się na usta każdemu, kto jako tako pojął stosunki galicyjsko-austryackie.

O utinam falsus vates sim!

Cezary Jelenta.

*) Chociaż pisma codzienne przynoszą od czasu do czasu echa głośnego dzisiaj i ciekawego sporu, to jednak sądzimy, że wiązanka wieści z bliższego źródła nie będzie czytelnikom obojętną.

LIBERUM VETO.

Stodoła literatury. — Teraźniejszość zbiera, przyszłość gatunkuje i ocenia. — Tkanina nieporozumień. — Człowiek jako dziecię teraźniejszości. — Jego przywiązanie do niej. — Skargi tonących i zatopionych. — Pociecha filozofii życia. — Konopnicka i jej ostatni zbiorek.

Dzisiejsza prasa, a po części i literatura podobna jest do stodoły, do której pospiesznie zwozimy wszystko, co na polu urośnie i składamy razem na kupach: pszenicę, owies, jęczmień, kąkol, miotłę, bylicę, wszelakie zielsko. Dopiero następnym pokoleniom pozostawiamy pracę i obowiązek omłócenia plonów, odwiania i rozgatunkowania ziar-

na, oddzielenia plew i śmieci, pocięcia słomy na sieczkę bydłu, a zmielenie ziarna na pokarm ludziom. A jak nie każdy gospodarz odrazu gatunkuje i oczyszcza swe zbiory, tak nie każda epoka rozkłada, grupuje i ściśle ocenia swoje nabytki, które składa i chowa w magazynach. To też umysł bystrzejszy, niecierpliwie wyprzedzający swój czas, doznaje dziwnych wrażeń na widok tego pomieszania rozmaitych rzeczy i ludzi, wspaniałych ziaren, które żywić będą potomność, leżących w jednej ćwierci z pustemi i bezpłodnemi plewami. Zdaje mu się, że go zewsząd otacza jakieś olbrzymie nieporozumienie, że masa ludzka porusza się naoślep z oczami przesłonionemi złudzeniem, że życie ludzkie rozgrywa się jak głupia farsa, że ono nie składa się z postaci rzeczywistych, lecz z widzeń rzuconych na ekran przez czarnoksięską latarnię. Odurzony, oszołomiony tym nieskończonym szeregiem niknących obrazów, tem ciągłem sąsiedztwem wielkości, ogłoszonej za małość, z małością, ogłoszoną za wielkość, tem padaniem na kolana przed próchnem a odwracaniem się od słońca — sądzi nieraz, że albo wszyscy około niego są waryatami, albo on sam oszalał. Bo czyż może oprzeć się takim przypuszczeniom, gdy słyszy ludzi rozprawiających z daleko goretszym zapałem o wyścigu pieszym trzech próżniaków, niż o zmierzeniu temperatury najgłębszych toni oceanu lub staranniejszą uwagę poświęcających Pytlasińskiemu, niż Bilińskiej? A jednak rzeczywiście nikt tu obłudnym nie jest, tylko uwydatnia się różnica między żyjącymi teraźniejszością i przyszłością.

Pomimo wszystkich swoich ambicyj i przechwałek człowiek jest niemowlęciem, najchętniej wysysającem mleko z piersi teraźniejszości, która go urodziła i przyjmującem wszelki inny pokarm jako lekarstwo. Trzyma tę pierś oburącz i tylko siłą można go od niej oderwać. Ani za siebie, ani przed siebie wzroku daleko rzucać nie lubi. O ile jesteśmy wykształceni, wiemy coś, a czasem bardzo dużo o świecie starożytnym, o średnich i nowszych wiekach historyi; gdybyśmy wszakże nie byli zmuszeni uczyć się tego w szkole, ilu też z nas wiedziałoby o egipcyanach, grekach, arabach, normandach? Zdaje mi się, że większość oświeconych poprzestałaby na tem, że Hektor jest dawno używanem imieniem psa, a Wenus patronką niewiernych żon i mężów, że Abelard był królem, który pokochał zakonnicę Heloizę, że rewolucya francuska była buntem zbrodniarzów przeciw straży więziennej. Jeszcze mniej zajęcia budzi w nas przyszłość. Wprawdzie napada nas czasem ciekawość: co się stanie z naszemi, późno zrodzonemi dziećmi — jak wypadnie najbliższa wojna — czy chemia będzie wyrabiała befsztyki w retortach — czy balony dosięgną Marsa i zawiążą stosunki z jego mieszkańcami — czy papież odzyska władzę świecką itp. Są to jednak pragnienia momentalne, szybko przemijające i niemające stałego wpływu na bieg ludzkich myśli i dążeń. Całą uwagę i wszystkie uczucia człowieka pochłania teraźniejszość. Gdybyśmy jakiemuś inteligentnemu dali do wyboru, co woli: czy dowiedzieć się niezawodnych szczegółów o życiu ludzkości za lat 1000, czy dostać korzystną (z gratyfikacyami) posadę na kolei, z pewnością sięgnąłby po tę ostatnią. Przydałoby się spojrzeć w przyszłość, nigdy jednak za cenę kilku tysięcy rubli rocznie.

W tym fakcie tkwi przyczyna, sprawiająca, że żaden naród nie oryentuje się należycie w swoich nabytkach współczesnych i uporządkowanie ich według wartości pozostawia pokoleniom następnym. Zawsze bowiem przydatna w danej chwili małość posiada większe znaczenie, niż nieprzydatna wielkość. Przypuśćmy, że ktoś odkrył w naturze jakąś nieznaną dotychczas siłę, która nawet kiedyś odpowiednio ujarzmiona może wyświadczać człowiekowi znakomite usługi, ktoś inny zaś zbudował pływający welocyped; któryż wypadek bardziej nas olśni i pociągnie? Drugi. Filister — a filistrów jest daleko więcej, niż zameldowano w opinii publicznej — będzie rozumował: niech tam moje wnuki lub prawnuki korzystają z tej nieznanej siły, ja wolę siąść na pływający rower lub przynajmniej pogapić się, jak ludzie na nim jeżdżą.

Podobnie rzecz się ma w literaturze. Czy ogół — ciągle mówię o ukształconym — rzeczywiście jasno zdaje sobie sprawę z różnic talentu Blizińskiego, Zalewskiego, Lubowskiego, Przybylskiego, Wołowskiego, Pikulskiego, Wikulskiego, Kikulskiego i innych *kulskich*, którzy nagle wyskakują na jakąś scenę i nikną? Bynajmniej. Wie tylko, że ten komedyopisarz lepiej go bawi, a tamten gorzej. Gdybyśmy szanowną publiczność, rozdającą wawrzyny powodzeń teatralnych, zapytali, czy ona uważa owych autorów za gwiazdy, które dłużej świecić będą, czy za ogniki swojego czasu, które on po ich śmierci szybko zgasi, czy są to talenty trwałe, czy znikome, czy pozostaną w literaturze, czy tylko w bibliotece reżyserskiej — nie umiałaby nas objaśnić poprostu dlatego, że takich pytań wcale sobie nie zadaje. Co jego obchodzi to, czy utwory Blizińskich lub Zalewskich będą za lat 100 jeszcze grywane, czy też wszyscy o nich zapomną? Główna rzecz dziś... dziś!.. Opowiadano mi, że jeden ze znakomitych naszych powieściopisarzów ugaszczał kryjomo reporterów dla zjednania ich sobie w robieniu reklamy, która rzeczywiście huczała potężnie. Nie ulega wątpliwości, że autor ten nawet bez takiej pomocy zająłby wybitne stanowisko w literaturze, ale kiedy? Za lat 10, 20, 50, a tymczasem on potrzebował chwili obecnej, chciał wydobyć się z tej olbrzymiej kupy, w której wszyscy leżą, czekając rozsortowania, uczeni obok przeróżnych viceprezesów towarzystw sportowych, poeci obok najwytrwalszych cyklistów, utalentowani malarze obok najzręczniejszych pływaków, historycy obok aktorów. W tej kupie, która bywa nieraz to wielkiem śmietniskiem, to stertą, to spichlerzem lub magazynem, obojętni na doraźne tryumfy czekają spokojnie spełnienia się swoich nieznanych losów, natomiast chciwi natychmiastowej sławy targają się, krzyczą, zwracają na siebie uwagę i złorzeczą swojemu czasowi. Pewien artysta, który miał parę sezonów rozgłosu, a potem utonął w niepamięci, mówił raz do mnie:

— *Tu* warto być tylko ruchliwym viceprezesem jakiegoś Towarzystwa, które urządza regaty lub recordy, ale nie malarzem. Pluję na taką sławę, która jest resztką uczuć tłumu, pozostałych po chwale aktorów i koni wyścigowych. Gdybym był folblutem, który zdobył wszystkie większe nagrody w gonitwach lub sceniczną małpą, udającą wybornie zgniłych rozpustników i ladacznice, wiedziałaby o mnie Europa. Otwórz pan angielską *stud-book* — znajdziesz pan w niej Przedświta, Rulera i wszystkie nasze slawne konie; a gdzie jest moje imię? W *Kuryerkach* obok doniesień, że jeden histryon raczył przyjechać, drugi zaś bawi na urlopie. Ostatniemu obrazowi mojemu poświęcono tyle wierszy w dziennikach, ile ślubowi gołego hrabicza z wyzłoconą mieszczanką.

Malarz miał słuszność, tylko nie co do *tu*. Tak bowiem jest wszędzie. Żadne społeczeństwo, wyławiając z życia ludzi i rzeczy, nie rozdziela i nie szacuje ich odrazu, żadne nie ocenia ich miarą przyszłości, lecz teraźniejszości. Klacz wyścigowa, najlepiej „biorąca płoty" i dająca uciechę widzom, może dla współczesnych przedstawiać większą wartość, niż znakomita powieściopisarka. Jeżeli matematyk Gosiowski sądzi, że bardziej olśniewa ogół, niż zwycięzca z *derby* Tormentor; jeżeli Asnyk mniema, że w obecnej chwili przewyższa Jana Reszkego; jeżeli K. Junosza przypuszcza, że bardziej jest podziwiany, niż Pytlasiński; jeżeli Towarzystwo lekarskie łudzi się, że posiada większe znaczenie, niż Towarzystwo kolei Wilanowskiej, to pozostają w grubym błędzie.

Zapewne, może być komuś przykrym ten widok zmieszania osób i przedmiotów, to pływanie po wierzchu życia wiórów i nikłych traw a leżenie na jego dnie klejnotów, które dopiero przyszłość wydobędzie, lecz czy filozofia, która każe się godzić z wszelką niezłomną koniecznością, nie daje zarazem w owym widoku rzetelnej przyjemności? Po co wy, geniusze, talenty, potężne siły umysłowe, skarżycie się na nieuznanie, na władztwo kurzu, który dusi i światło zakrywa; bo czyż wam nie sprawia żadnej rozkoszy ta myśl, że on zginie, że go wiatr rozwieje i odsłoni wszystko, co jest przeznaczone na długie trwanie? Czy to nie przyjemnie, gdy patrzycie na tłustego wołu, dumnie kroczącego w orszaku zapustnym lub czczonego jako bóstwo przez ciemny tłum; na błyszczące pyły, z których każdy usiłuje rozdąć się do rozmiarów ognistej góry; na to nieprzeliczone mnóstwo drobnych, kręcących się i szemrzących żyjątek; na te bałwany ze śniegu lub gliny; na to szklanne klejnoty, szychowe płaszcze, pyszną głupotę, przechodzącą dumnie około upokorzonej mądrości; na te jednodniowe lub dziesięcioletnie sławy, na te robacze tryumfy — czy nie przyjemnie — już nie przypuszczać, ale wiedzieć, że to jest królestwo marności nad marnościami, że ono żyć będzie krócej, niż bluszcze, które dąb oplatają.

Każdy niemal dzień przynosi nam nowe książki. Wszystkie z pozoru podobne: ten sam papier, czcionki, ozdoby; zdaje się, że to równe promienie wielkiej gwiazdy, która zwie się literaturą. A jednakże co za kolosalna między niemi różnica! Tu niedołężny fabrykat, który jutro rozpadać się zacznie i dziesiątka lat nie doczeka, a obok przepiękny utwór talentu, który do przyszłości należy. Takim wspaniałym talentem, który dotąd spoczywa w naszem piśmiennictwie zmieszany z artystycznemi rupieciami, nieoceniony należycie, nie wydobyty ze stosu literackich gałganów i nie postawiony na piedestale, jest Konopnicka, a takiem dziełem, które nadpłynęło potokiem naszej twórczości wraz z masą śmieci, jest świeżo wydany jej zbiorek p.t. „Na drodze." Przeczytawszy go, chciałem napisać sprawozdanie i napisałem powyższe uwagi, które niem wcale nie są.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przewaga Łodzi. Z powodu częstego podnoszenia w kołach przemysłowców ruskich kwestyi współzawodnictwa przemysłu łódzkiego i wyrażonego obecnie żądania opodatkowania komiwojażerów z tego miasta, *Nowosti* roztrząsają „prawdziwe przyczyny powodzenia Łodzi." Według tego pisma, łodzianie zawierają milionowe tranzakcye, wobec czego opłacenie świadectw gildyjnych lub innych będzie dla nich drobnostką i w niczem nie zmieni stosunku ich do przemysłowców z Cesarstwa. Przewaga bowiem Łodzi polega nie na ponoszeniu ciężarów państwowych, ale na tańszych kosztach produkcyi, na opodatkowaniu zaś komiwojażerów skorzystałby tylko rząd. Łodzianie otrzymują bawełnę z pierwszej ręki, posyłając swoich agen-

tów do Azyi i skupując ją u plantatorów, podczas gdy przemysłowcy moskiewscy wyczekują cierpliwie, póki towaru nie przywiozą im na jarmarki i tym sposobem muszą opłacać zyski handlarzów i komisantów. Dochodzi do tego, że fabrykant łódzki, Poznański, przywozi na jarmark 4,000 bel bawełny z nasienia amerykańskiego, którą zakupują fabrykanci moskiewscy. Jeżeli to potrwa w przyszłości — wkrótce cała produkcya bawełny azyatyckiej dostanie się do rąk łodzian i rynek przemysłowy moskiewski będzie zależeć od łódzkiego. Oprócz tych korzyści przewagę Łodzi zwiększa jeszcze okoliczność, że ma ona własne przędzalnie, tkalnie i apretury, z fabryk zaś ruskich zaledwie kilka je posiada i to niewystarczające na własne potrzeby, gdyż nawet fabryka Nikolska i manufaktura Morozowa dokupują przędzę. Cały okręg Iwanowski nie posiada wcale przędzy i nabywa ją z fabryk w pobliżu Petersburga, gdzie pod protektoratem znanej firmy Knopa powstało wiele przędzalni. Tym sposobem znaczna część zysków przy fabrykacyi perkalów pozostaje w rękach wytwórców przędzy. Znajdują się oni pod protektoratem celnym i korzystając z zapotrzebowania fabryk tkackich, spekulują dowolnie swym towarem, otrzymując ze sprzedaży 28% czystego dochodu, a taki zysk lichwiarski musi być ciężarem, przygniatającym tkactwo okręgów środkowych, pozbawionych własnej przędzy. Z tych powodów fabrykanci moskiewscy zmuszeni są sprzedawać swój towar drożej od łódzkiego. Producenci przędzy, nakładając na nią dowolne ceny, paraliżują przemysł rękodzielniczy okręgu moskiewskiego. W roku zeszłym sprzedawano przędzę w Moskwie i na jarmarku po 16 rs. 50 kop., dlaczego więc w r. b. cena jej nadmiernie podskoczyła? W tem właśnie leży punkt ciężkości sprawy. Szanse Łodzi i okręgu moskiewskiego wyrównają się, gdy nie komiwojażerowie zostaną opodatkowani, lecz fabrykanci przędzy będą ujęci w karby. Wśród kupiectwa coraz częściej poruszaną jest sprawa uregulowania cen przędzy na wzór normowania jej w produkcyi cukru.

— *Petersb. Wied.* piszą: „W ostatnich czasach z Rosyi za granicę idzie znaczna ilość ryb. Podczas zimy wysyłane bywają do Wiednia wielkie transporty sandacza solonego, który, chociaż nieraz źle przechowany, jednakże ma znaczny odbyt dzięki swojej taniości. Ryba jednak dostaje się za granicę nie bezpośrednio z rąk rybaków ruskich, ale za pośrednictwem komisantów warszawskich, którzy ciągną stąd znaczne zyski. Obecnie kupcy wiedeńscy postanowili wejść w osobiste stosunki z rybakami dońskimi i astrachańskimi i w tym celu przybył do Rosyi austryacki ichtyolog Holzer, który odbywa podróż po wszystkich okręgach rybołówczych.

— Jeden z przedsiębiorców stara się o 25-letnią koncesyę na prawo plantowania na brzegach i odsypiskach Wisły łozy koszykarskiej i faszynowej, a także dobywania piasku i lodu, na przestrzeni 200-wiorstowej od wsi Skurcza do Nieszawy. Obowiązuje się płacić kasie m. Warszawy 800 rs. rocznie i kasie warszawskiego okręgu komunikacyi 1000 rs. Po oznaczonym czasie plantacye łozy przejść mają na własność skarbu.

— Pozwolono zarządowi kolei Terespolskiej otworzyć w warszawskich magazynach kolejowych operacye zaliczkowe na zboże według zatwierdzonej taksy, a także na inne towary, brane na przechowanie do magazynów.

— Dozwolono czasowo na wywóz za granicę towarów bez uiszczania opłat handlowych.

— W pobliżu dworca petersburskiego na Pradze powstanie kosztem 200,000 rs. drugi elewator, (niezależnie od projektowanego przez kolej Terespolską).

— Ministeryum skarbu, oprócz agentów w Azyi Środkowej, ustanawia w celach handlowych agentury w Europie Zachodniej i Ameryce.

— Magistrat warszawski poczynił ogłoszenia w Petersburgu i Moskwie, wzywające przedsiębiorców do podjęcia się budowy hal targowych na placu po b. koszarach Mirowskich. Budynek składać się ma z 2 ch oddziałów: do sprzedaży ryb i mięsa i do wszelkich innych artykułów spożywczych. Koszt budowy 1,164,797 rs. 74 kop.; ziemia pod budowę bezpłatna. Czas użytkowania z hali dla przedsiębiorców 40-letni; utrzyma się jednak przy budowie zgadzający się na najkrótszy termin.

— Zabroniono przywozu do Rosyi zagranicznej monety srebrnej (oprócz chińskich jambów), w mennicach zaś wstrzymano przyjmowanie od osób prywatnych srebra w sztabach lub starych pieniądzach dla wymiany lub przebijania na monetę. W Stanach Zjednoczonych, według *Scientific American*, srebrne wyroby są obecnie tańsze od platerowanych.

KRONIKA.

Rozwój tandety. Tandeta jest chwastem, porastającym obficie niwę współczesnego przemysłu. Gdzie zagraża bezpieczeństwu publicznemu, pieleniem jej zajmuje się władza; istnieją jednak sfery, w których bujaniu tej roślinki nic nie przeszkadza. Pod wpływem współzawodnictwa każda gałęź produkcyi radaby wytwarzać chociaż źle, lecz tanio, ale uczynić zadość tym szczerym chęciom może dopiero wtedy, gdy pozwoli na to zapotrzebowanie. Polem najżyźniejszem do uprawy fuszerek jest produkcya odzieży. Z jednej strony ciągle zmieniająca się moda sprawia, że nie opłaci się kupować rzeczy trwałych i mocnych, które wkrótce okażą się nieprzydatne do użytku, z drugiej znów przyczynia się do tego ogólne ubóstwo. Bardzo często tak zwana tania odzież jest właściwie drogą, gdyż niszcząc się prędko, wymaga zamiany, co w przeciągu roku lub dwóch kosztuje więcej od zniszczonej w tym samym czasie odzieży z lepszego materyału; wielu jednak nie jest w stanie wyłożyć odrazu znaczniejszej sumy i zadawalać się musi drogą tandetą. Dla fabrykantów i kupców warunki te są bardzo dogodne, gdyż czyniąc zadość dążnościom ku wytwarzaniu źle i tanio, pozwalają zarazem sprzedawać towarów na większą sumę pieniężną i tym sposobem ściągać znaczniejszy haracz ze spożywców. Wskutek tego garderoba tandetna rozwielmożniła się na wszystkich rynkach. Niema obecnie materyału, z któregoby zrobiona odzież mogła przechodzić, jak niegdyś, z ojca na syna. Ogniskiem tego rodzaju taniej produkcyi jest Wiedeń, skąd fale tandety rozpływają się na wszystkie strony, natrząsając się cynicznie z usiłowań współzawodniczych wytwórców sumienniejszych. Pod wpływem takiego zalewu krawcy warszawscy i składnicy kortów podejmują zbiorową walkę przeciw magazynom tandeciarskim, którą przeprowadzić zamierzają za pośrednictwem warszawskiego oddziału Tow. popier. rusk. przem. i handlu. Uderzyć mają na dwa punkty: na podwyższenie cła od gotowej odzieży (przywożonej głównie z fabryki wiedeńskiej Mandla) i na skłonienie miejscowych fabrykantów do wyrabiania gorszych gatunków sukna i kortów, których niska cena zdolna byłaby współzawodniczyć z tanimi produktami zagranicznymi. Nie chodzi więc tu, jak jest zapowiedziane, o zwalczenie tandety, ale przeciwnie, o przeniesienie jej na grunt swojski, o rozrost jej w kraju w myśl interesów miejscowych wytwórców. Wywołane warunkami życiowymi prądy rynkowe są silniejsze od pojedynczych dążności i unoszą je wraz z sobą.

Sprawy społeczne. W Łodzi powołano do składania egzaminu z języka ruskiego około 1000 majstrów i podmajstrzych, zatrudnionych w 183-ch fabrykach. Wymagano od nich biegłego czytania po rusku i polsku oraz pisania po dyktandzie w obu językach. Egzamin złożyło około 800 — reszta zaś będzie wydalona z fabryk. (*Petersb. wied.*).

— Koryto Wisły pod Warszawą zwężone będzie w r. b. na przestrzeni od Saskiej Kępy do mostu. Na koszta robót przeznaczono 200,000 rs.

— Otwarty na Pradze dom zarobkowy, przeznaczony jest dla osób biednych, stałych mieszkańców Warszawy, pozbawionych możności zarobkowania. Pracować tam będą zgłaszający się dobrowolnie bez różnicy wyznania i płci, oraz ujęci przez policyę za włóczęgostwo, próżniactwo lub żebraninę. Praca latem 12-godzinna — zimą zaś 10-godzinna, z dwugodzinną przerwą na objad. Płacę dzienną oznaczono tymczasowo na 15 kop. Nocleg i obiad pracujący otrzymają w przytułku noclegowym. Zajmą się gatunkowaniem starego papieru i butelek, przetapianiem laku ze starych kopert, szyciem worków, wyrobem kopert, pudełek, słomianek itd.

— Towarzystwo głuchoniemych obchodziło dziesięciolecie istnienia. Przemawiano za pomocą mimiki.

— Ostateczny termin przesiedlenia żydów do granic ich dozwolonego pobytu przedłużono do 13 czerwca r. p. (*Birż. wied.*).

— Na wystawie hygienicznej w Petersburgu znajduje się 10 gatunków fałszowanej kawy, zbadanych przez warszawski urząd lekarski. Jako materyał do podrabiania służy pszenica, jęczmień, glina, mąka, cykorya, figi, łupinki kakaowe itd.

— W ciągu zeszłego miesiąca z przytułku noclegowego na Pradze korzystało dziennie około 250 ubogich.

— W roku bieżącym wziętych będzie z Królestwa 22,902 rekrutów, najwięcej z gub. warszawskiej (3,896) i najmniej z płockiej (1747) (*Praw. wiest.*).

— Petersburskie zgromadzenie rolnicze otwiera biuro rekomendacyi pracy dla agronomów i oficyalistów gospodarskich. (*Peterb. wied.*).

— Teatr lubelski na sezon zimowy objął p. B. Marecki, reżyserem zaś będzie p. Halicki. Sezon rozpocznie się 23-go b. m. odegraniem „Gniazda rodzinnego“ Sudermana i potrwa 6 miesięcy.

— Według *Kuryera warsz.* w pasie pogranicznym wzmaga się przemytnictwo produktów spożywczych do Niemiec. Władze pruskie wzmocniły kordon, gdyż ludność miejscowa stale szwarcuje chleb, nabiał, mięso i drób.

— Departament lekarski opracował surowe przepisy, obowiązujące fabryki, zakłady przemysłowe i warsztaty rzemieślnicze, które wejdą w życie w początku r. p., dotychczasowe bowiem otoczenie, w jakiem pracują robotnicy nie odpowiada warunkom hygieny, ponawiane zaś niejednokrotnie rozporządzenie w tym kierunku nie osiągnęły skutku. (*Peterb. wied.*).

— Ministeryum komunikacyi ukończyło projekt oddania dróg szosowych pod zarząd ziemstw i miast.

— W petycyi, podanej przez kupców moskiewskich P. ministrowi skarbu znajduje się żądanie opodatkowania komiwojażerów z okręgu fabryczno-łódzkiego.

— Senat rządzący wyjaśnił, że w charakterze obrońców mogą występować trzy razy do roku osoby nie posiadające ustanowionych świadectw w sprawach sądzonych przed członkami powiatowymi sądów okręgowych.

Szkoły. Z powodu epidemii uznano za konieczne odroczyć egzaminy dla studentów medycyny starszych semestrów do 1 listopada, a początek zajęć naukowych dla medyków 7 i 9 semestrów — do 1 października. (*Praw. wiest.*)

Zdrowie publiczne. Rozwiązano w Lublinie czynny w r. z. podczas cholery komitet pomocy dla ubogich. Jednym z głównych jego zadań było utrzymanie sierot po zmarłych na cholerę. Po uregulowaniu rachunków pozostało 688 rs., z których 360 złożono w kasie przemysłowców lubelskich na pierwsze wydatki w razie ponownego pojawienia się epidemii, resztę zaś oddano Towarzystwu dobroczynności na koszty wychowania sierot.

Trzęsienie ziemi. Odbieramy list następujący: Dnia 17 sierpnia o godzinie 4 i $1/2$ wieczorem w Tyraspolu (gub. chers.) dało się uczuć trzęsienie ziemi. Zjawisku temu towarzyszył głuchy podziemny grzmot: ruchy ziemi były najpierw faliste, potem prostopadłe; trwało to wszystko nie dłużej, niż jedną minutę.

Dnia 10 września o godzinie $5\,1/2$ rano, trzęsienie ziemi, wyrównywające w swej sile pierwszemu, ponowiło się. O ile wiem, żaden dom w Tyraspolu ani w okolicy uszkodzonym nie został. W chwili trzęsienia słychać było tylko głośne stukanie i kołatanie znajdujących się w domach przedmiotów. Dzisiejsze trzęsienie obudziło wiele ludzi i mnie kołysaniem się łóżek.

Zjazdy. Na jarmarku chmielarskim w Warszawie odbyć się mają narady piwowarów nad środkami zmniejszenia wzmagającego się coraz bardziej przywozu piwa zagranicznego.

Sprawy kolejowe. Przywrócono wagony sypialne w pociągach kuryerskich, kursujących między Warszawą i Berlinem. Jadący tymi wagonami przesiadają raz w Aleksandrowie.

— Zarząd m. Radomyśla (gub. kijowska) umawia się z zarządem kolei Południowo-Zachodnich o doprowadzenie linii z Konstantynowa do tego miasta.

— Zarząd kolei Riazańsko-Uralskiej stara się o koncesyę na budowę kolei od Bałaszowa do Penzy.

Bibliografia. T. Hardy, *W pogoni za ukochaną*, przeł. z ang. M. Dz., powieść, str. 256, Warszawa, Paprocki.

— Dr. T. G. Kornig, *Hygiena skromności*, opracow. dr. A. Fabian, str. 94, Warszawa, Paprocki.

— A. Dygasiński, *Wint*, powieść, str. 45, Warszawa, Paprocki.

— E. Maspero, *Egipt i Assyrya*, przeł. I. Popławski, str. 492, Warszawa, Paprocki.

— A. Zawadzki, *Monologi*, serya II, str. 51, Warszawa, Centerszwer.

— E. Bogusławski, *Początki Chorwacyi iliryjskiej*, str. 32, Kraków.

— St. Pałko, *Wykład pisowni polskiej w dyktandach* str. 175, Warszawa, Paprocki.

— H. Sieradzki, *Solanka*, str. 56, Petersburg.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Aurelii K. Obecny list Pani o tyle nam kwestyę wyjaśnił, że teraz już wcale nie wiemy, czego Pani od nas żąda. Czy tego, ażebyśmy z dwu listów odgadli, jaki ich autorka posiada talent i wskazali mu drogę rozwoju, czy też, ażebyśmy, pominąwszy ten zasadniczy punkt, podali sposób, jak można zostać literatką. Jedno i drugie przechodzi nasze siły.

Pani L. C. w Tyrasp. Dzisiejsza wiedza nie umie pod tym względem dać żadnego zapewnienia. Są miejsca, gdzie zjawisko to powtarza się często, są inne, gdzie występuje przelotnie i nie wraca.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Сентября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.